AS



Nr. 10
7 MARCA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

SYMFONJA CZARNEJ RASY...

Cab Calloway, dyrygent słynnego zespołu jazzowego.

WIEŚ BOBRÓW nad Berezyną



„Wieś bobrów" posiada wygodne mieszkanie dla tych cennych zwierząt.

Księżyc, który wypłynął ponad kępę łozy zaczaił się wraz z nami w nieprzeniknionym gąszczu szuwarów leśnych i ciekawie spoglądał na leniwie płynący nurt rzeki, wypatrując co też tam wyrabiają bobry.

Najpierw na wolną od wodorostów toń wypłynęła niewielka głoweńka zwierzęcia, pilnie wypatrując ciemny masyw łodzi, zanurzył się raz i drugi, a potem jak gdyby prowokując wielki sobie niewiadomy cień, trzasnął z całej siły swoim łuskowym ogonem, rozpryskując w perlistą fontannę nasyconą księżycem wodę.

Czatowaliśmy tak w samem sercu berezyńskiej puszczy, w świecie zaginionym bagien, łozy i olchy karłowatej, której ścieżyny przemierza w tej porze roku łoś-brodacz, a niebo której krzyżykami kreślą puszczańskie orły. Gdyby się wpatrzeć w zbite gąszczarem pobrzeże rzeczne, zobaczyłoby się szereg chat kopulastych misternie z drzewa rzeźbionych, oblepionych błotem, zretuszowanych z tłem.

Zapadliśmy w bobrową wieś... kolonję żeremii.

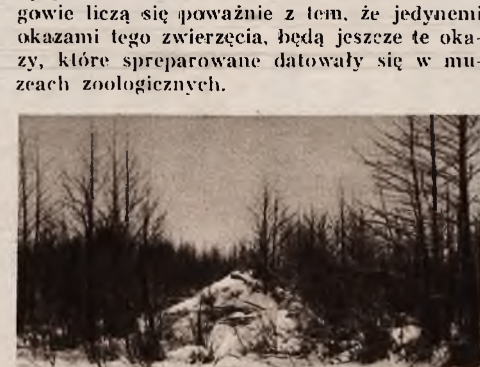
Ale to było lato i od wody szedł bachiczny opar balsamicznych zapachów wilgoci i ziela i był księżyc, który tę nocną eskapadę przyoblekł welonem srebrzystej bajki, oświecając lampą swoją puszczański kraj, wyczarowywał bobrowe cuda. Nie tak dawno jeszcze nic nie wiedziano o renesansie bobra w tych stronach, wiedziano tylko, że istniały kiedyś te mądre i pracowite zwierzęta, które wyparła stąd niepohamowana niczem chciwość człowiecza i zła dola wojenna, wiedziano, że tutaj, na wielkich rozlewach Berezyny budowały sobie wsie bobrowe rody, aż oto powróciły ponownie, spłynęły przez Puszczę Hołubicką w górę rzeki, że zamieszkały tu i że się rozbudowywują. Najpierw powstało jedno żeremie i jedna tama, która nie przeszkadzając człowiekowi wytrwała i spełniała swoją rolę, potem zaczęły powstawać chata po chacie, a w dół rzeki tam, gdzie za wygodniejsze sobie miejsce na nory obrały bobry, powstawać zaczęły podziemne lepianki a błoto pobrzeżne zaczęło się znaczyć małymi tropami tego zwierzęcia, podobnymi do śladu małej bosej nóżki dziecka.

Wiemy dobrze jak to było, a dziejopisy, które notowały żywoty bobrowe na ziemiach polskich w pierwszych latach niepodległości na mapie Polski, w okolicach, gdzie kiedyś bobry istniały, postawili im już dawno krzyżyk, aż oto ni stąd, ni zowąd, wraz z odrodzeniem się innych ciekawych zwierząt bobry powróciły do życia, przynawigowały tajemniczemi drogami niewiadomo skąd i rozgościły się na dobre ponownie tam, gdzie i ich praojcom dobrze się działo. Wiemy dobrze, jak to kiedyś bardzo popularny w Polsce bóbr (nadawszy nazwy i miana miastom, osiedlom i rodom), systematycznie, mimo edyktów ochronnych królewskich niszczony, cofał się coraz to bardziej w zoograficznym pasie swego zaludnienia, wiemy, jak to w połowie XIX wieku żył już tylko na wschód od Wisły, że jeszcze w roku 1851 Taczanowski obserwuje jego żeremia pod Puławami nad Wisłą, że wreszcie, w tychże samych latach znachorowie i lekarze ówcześni, posługują się strojem bobrowym, jako lekiem nieomylnym, dostarczanym przez rybaków brakonjerów z nad Bugu i Narwi, aż wreszcie i tam nie staje bobra i wytrzebiony omal że zupełnie, cofa się w Nowogródczyznę i na Polesie.



Komisja przyrodnicza zwiedza rezerwat bobrowy w lasach Zamoszańskich. Od lewej: Inż. St. Kurczyn, prof. inż. J. Kochanowski, inż. L. Piekarski, właściciel lasów L. Słotwiński i gajowy Łatwił. Fot. inż. J. Kochanowski.

Niemcy, którzy celują w mistrzowskim organizowaniu ochrony zwierzyny, posiadają w roku 1913, 188 sztuk bobrów, w dawnej dolinie Łaby, pomiędzy Wittenbergiem i Magdeburgiem, we Francji w delcie Rodanu sztucznie podtrzymywane przy życiu, istnieją jeszcze jakie takie żeremia bobrowe, a w południowej Norwegji, w okolicy cieśniny Skagerrak, robi się wszystko po temu, ażeby bobry zachować przy życiu. Tak dzieje się jednak w okresie przedwojennym, po wojnie jednak stan bobra w Europie liczony jest omal że dosłownie na sztuki, a zoologowie liczą się poważnie z tem, że jedynemi okazami tego zwierzęcia, będą jeszcze te okazy, które spreparowane datowały się w muzeach zoologicznych.



Oto „chata" bobrowa w projektowanym rezerwacie bobrowym w lasach Zamoszańskich. Fot. inż. J. Kochanowski.

Ale właśnie po wojnie, mimo powiększającego się z dniem każdym pasa zaludnienia ludzkości, przetrzebienia puszcz i osuszenia ostępów, matka — Natura, jak gdyby zakpiwszy ze swych badaczy, stawia ich wobec nowego problemu powrotu do życia tych zwierząt, które zdawna uważano za wyginione, bądź skazane na zagładę z powodu przeludnienia ziemi, powróciły ponownie do życia, a co dziwniejsze, znosząc doskonale sąsiedztwo człowieka, mnożą się coraz to liczniej. Tak dzieje się z łosiem, głuszcem, a ryś nawet, drapieżnik i jedyny lampart naszej strefy zoograficznej wypłatał naszym sąsiadom zachodnim kapitalnego figla. Otóż w Sprewaldzie, gdzie wystawiono pomnik w 1830 roku ostatnio tam zabitemu rysiowi, pojawiły się ponownie rysie i jako kartkę wizytową swej obecności złożyły po wsiach okolicznych kilkanaście pozarzynanych owiec. W podobny sposób powróciły u nas do życia puszczańsko-nizinne niedźwiedzie brunatne, no i wreszcie bobry, które ostatnio ukazały się na Berezynie, na tym odcinku rzeki historycznej, która zawijając wielki łuk serpentynowy od miasteczka Dokszyc w pow. Dziśnieńskim, na Wileńszczyźnie, przepływa przez lasy Zamoszańskie i Puszczę Hołubicką. Należy przyznać, że topografja tych okolic i warunki lokalne są idealnemi dla rozmnoży bobrów i gdyby tylko nie chciwe wycieczki niepowołanych w te strony; należałoby się liczyć z rozmnożą bobra i coraz szerszym zasięgiem rozbudowywania się jego chat.

Gdyby tylko niezbyt częste i... niepowołane wizyty człowieka.

Należało temu zapobiec w jakikolwiekbądź sposób, gdyż trudne do przebycia błota Berezyny, nie stanowiły dostatecznej zapory. Dzięki też inicjatywie dbałego o czary naszej przyrody komisarza Ochrony Lasów pow. Dziśnieńskiego p. inż. L. Piekarskiego, powstała koncepcja utworzenia półrezerwatu ochronnego dla bobrów, na tym niewielkim odcinku kraju, co obwarowane prawnie dałoby jeszcze lepsze warunki w zachowaniu się tego cennego i miłego zwierzęcia. To też w dniu 6 grudnia 1936 roku przybyła do lasów Zamoszańskich nad Berezyną komisja złożona z ludzi, którzy szczerze miłowali ojczystą przyrodę w osobach: mgr. asystenta J. J. Tochtermanna, inż. Stanisława Kurczyna, inż. prof. J. Kochanowskiego, twórcy i opiekuna ogrodów przyrodniczych w Grodnie, p. inż. L. Piekarskiego, którzy po rozejrzeniu się wśród chat bobrowych wystąpili z projektem do odnośnych władz o utworzenie półrezerwatu w lasach Zamoszańskich zważając i tę sprawę, że ten okrawek puszczy nadberezyniańskiej posiada i takich reprezentantów rzadkich zwierząt, jak łosia, orła, bielika, czarnego bociana i norkę.

Opieka prawna, którą z okazji zaistnienia rezerwatu, otoczoną będzie ta okolica, stworzy idealne warunki rozmnoży bobra.

Z niewielkiej literatury na temat biologji bobra, zanotować należy miłe i wartościowe dziełko prof. J. Kochanowskiego, który obserwacje swoje, dokonane nad poranionym przez kłusownika niemeńskim bobrze, skreślił. Brak prac podobnych powstał przedewszystkiem z powodu braku żywych okazów tego wielkiego gryzonia.

Gdy bobry kanadyjskie doczekały się wspaniałej monografji angielskiego uczonego, bóbr polski czeka na swego odkrywcę.

Feliks Dangel.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 10 — **Niedziela 7 marca 1937** — **Rok III**

ASY NUMERU 10-GO:



Uroda zimy przejawia się wszędzie tam, gdzie pod wpływem mrozu woda przybiera fantastyczne, jakby z bajki, kształty lodowe. Płatki śniegu, pokrywające białym całunem krajobraz, kryształki szronu przyczepione misternie do gałązek drzew, zwisające z dachów sople-stalaktyty zimy — oto współczynniki piękna zimowego pejsażu. Nabiera on specyficznego wyrazu w okolicach górskich, gdzie podziwiamy zamarłe w okowach mrozu siklawy i wodospady. Na zdjęciu: Potok Partnach pod Garmisch-Partenkirchen.

Z TEKI OBYCZAJÓW:

KĄPIELE

Niepodobieństwem jest dociec, gdzie i kiedy weszły po raz pierwszy w użycie kąpiele z sztucznie ogrzanej wody. Nawet najstarsze źródła już wspominają o kąpieli, jako o rzeczy znanej i zwykłej. U ludów starożytnych i wschodnich kąpiele łączyły się bardzo ściśle z obrzędami religijnymi. Sądzono, że czystość ciała chodzi w parze z czystością duszy. Do dziś na całym muzułmańskim Wschodzie kąpiel posiada znaczenie większe, niż gdzieindziej, ponieważ Koran przepisuje wyznawcom swym zachowanie czystości cielesnej, w sposób podobny, jak to czyniły o wiele wcześniej Księgi Mojżeszowe, będące znów naśladownictwem wzorów znacznie starszych, a najprawdopodobniej egipskich, jeżeli nie asyryjskich lub babilońskich.

Jednakże dbałość o czystość ciała nie zawsze łączyła się ściśle z przepisami religijnemi. Japonja również, od początków istnienia słynie z zamiłowania do czystości. Na wyspie Jawie już w bardzo dawnych wiekach mieszkańcy wykorzystywali wodę rzek, używając kąpieli.

W czasach pierwotnych pierwsi Europejczycy grzali wodę na wielkich paleniskach, zbudowanych z kamieni, następnie kopali w ziem jamę (dziś nazwalibyśmy to basenem), do której wlewano gorącą wodę i w niej się kąpano.

W Rzymie i Grecji kąpiel była niejednokrotnie związana z obrzędami religijnymi, ale w życiu mieszkańców tych krain grała ona także inną rolę, o charakterze hygjeniczno-kosmetycznym. Już Homer wspomina o kąpielach w wannie, o wodzie ciepłej, którą służono gościowi utrudzonemu długą podróżą. A działo się to w IX, X wieku przed Chrystusem.



Rysunek na greckiej amforze z VI wieku przed Chr. przedstawiający kąpiel kobiet.

W Atenach, a prawdopodobnie i w innych miastach greckich już w V wieku istniały oprócz rozpowszechnionych łazienek domowych — łaźnie publiczne, osobne dla kobiet i mężczyzn. Usługujący w nich łaziebnik otrzymywał wynagrodzenie, które za czasów Lukiana wynosiło 2 obole.

Oprócz wanien podobnych do naszych, używano pozatem miednic do obmywania się. — W łaźni znajdowała się izba, służąca do namaszczania, w której nacierano ciało oliwą lub wonnościami, oraz inna, będąca szatnią. Znano już też natryski; po ciepłej kąpieli łaziebnik polewał kąpiącego się zimną wodą z dzbanka. Do kąpieli przynoszono ze sobą prześcieradło i oliwę. Mydła jeszcze nie znano, wprowadzono je dopiero za czasów Cesarstwa do Galji.

W dobie hellenistycznej wygodnie urządzone łazienki znajdowały się w gimnazjach i palestrach, a posłużyły one potem za wzór Rzymianom, chociaż w Grecji nigdy tak zbytkownie urządzone nie były. Grecy przekładali kąpiele zimne nad ciepłe, Rzymianie zaś przeciwnie.

Rzymianie również od najdawniejszych czasów używali kąpieli zimnych i ciepłych, morskich i rzecznych. W domu znajdowała się łazienka niedaleko kuchni, często służyła także za pralnię.

Na schyłku Rzeczpospolitej, gdy w Rzymie zapanował przepych, zaczęto na wzór grecki zakładać łaźnie publiczne, które wspaniałością przewyższały swe pierwowzory, a w późniejszych czasach Cesarstwa stały się przybytkiem zabawy i rozpusty, a sama kąpiel była tu raczej dodatkiem, niż głównym celem. Można tam było użyć uciech i rozrywek wszelakich, zarówno duchowych jak i cielesnych, więc też nie może nikogo dziwić, że łaźnie stały się ogniskiem życia towarzyskiego.

W łaźni rzymskiej znajdowały się: 1) wielki piec, umieszczony w podziemiach, służący do ogrzewania wody zapomocą przewodów, wpuszczonych w podłogę i ściany, ocieplający powietrze (był to system ogrzewania centralnego), 2) szatnia (apodyterium), 3) łazienka do zimnych kąpieli (frigidarium),

Na prawo: łaźnia publiczna na rynku miasteczka szwajcarskiego Aargau.



Poniżej: Kobiety w kąpieli — obraz Delacroix.





To nie jest przyrząd do tortur, lecz średniowieczna »parówka«

Na prawo: Rekonstrukcja łaźni średniowiecznej z końca XV wieku. Jak widzimy, w jednej wannie kąpały się równocześnie dwie osoby.





Kąpiel w dawnej Japonji — według starego sztychu.

mieszcząca się pod gołem niebem, lub w ogromnej sali, 4) kąpiel letnia, przyspasabiająca do cieplejszej, gdzie też ciało namaszczano, 5) kąpiel gorąca (caldorium), bliższa pieca, z wannami lub sadzawką, 6) potnica (sudatorium) najsilniej ogrzana część łaźni, obok której mieściła się jeszcze łaźnia parowa, opatrzona własnym piecem, skąd wylewano gorącą wodę.

Oprócz tych urządzeń, stanowiących właściwą łazienkę, korzystano jeszcze z ogromnych dziedzińców, ocienionych drzewami, większych i mniejszych sal, gdzie zbierano się na pogawędkę, sal przeznaczonych do ćwiczeń, czytelni, restauracyj itd.

W IV wieku za panowania Konstantyna, Rzym posiadał 60 łaźni publicznych większych, w tem 15 olbrzymich i 800 mniejszych, przeważnie bezpłatnych lub bardzo tanich. Agrypa za panowania Augusta założył wspaniałe łaźnie publiczne na polu Marsowem, za jego przykładem poszedł Neron, chcąc przypodobać się ludowi i jego następcy. Najwspanialsze były termy Karakalli i Djoklecjana. Do dziś zachowały się szczątki tych wspaniałych budowli: Panteon w Rzymie to jedna z olbrzymich sal łaźni Agryppy, a kościół Santa Maria degli Angeli jest przebudowaną salą łaźni Djoklecjana. Ruiny tych łaźni nie tylko spotykamy na półwyspie Apenińskim, ale wszędzie tam, gdzie sięgała władza Rzymu. Pierwotnie istniały osobne łaźnie dla kobiet, a osobne dla mężczyzn, tak jak u Greków. Później za czasów Cesarstwa, gdy rozluźnienie obyczajów doszło do niesłychanych rozmiarów — mężczyźni i kobiety kąpali się razem, przeciwko czemu ostro występowali Ojcowie Kościoła.

W kole: Urocza Jean Harlow w zaimprowizowanej na świeżem powietrzu kąpieli.





Damy z czasów rokoko nie pozbywały się niewygodnych fryzur nawet w kąpieli!



Do rytuału kąpieli fińsko-tureckiej należy smaganie skóry pękiem gałązek wierzbowych.



Na lewo: Wspaniały basen kąpielowy w Gellert pod Budapesztem.

Święty Hieronim (r. 331—420) do tego stopnia był przeciwnikiem łaźni, że zabraniał jej stanowczo ludziom dorosłym, pozwalając na nią tylko dzieciom.

W r. 1903 odtworzono w Rzymie Thermae Stabianae, będące we wszystkich szczegółach wiernem naśladownictwem łaźni pompejańskiej, jednak dalekie od starożytnego przepychu.

Od upadku państwa rzymskiego rozpoczyna się okres nowej kultury, na zgliszczach starej. Państwa cywilizowane upadły, Europą rządzą barbarzyńcy. I znów ludzkość zaczyna wszystko od początku... Zamiast wytwornych łaźni wrzuca się poprostu ogrzane kamienie do sadzawki i ciepła kąpiel gotowa! Powoli z rozwojem wygód życiowych rozpowszechniają się łaźnie. Karol Wielki, który zapewne podczas pobytu we Francji polubił kąpiele, od czasów rzymskich jeszcze całkowicie nie zapomniane, chętnie zażywał ich w Akwizgranie, w czem naśladował go dwór. Nakazał on też, aby w całem państwie przy klasztorach i szpitalach utrzymywano łaźnie, bezpłatne dla ubogich i podróżnych. Po śmierci jednak władcy poszły one w zapomnienie, jako nie związane z obyczajem narodu.

W XII w. spotykamy pierwszą wzmiankę o kąpielach parowych w Niemczech.

Zajęcie łaziebnika było w pogardzie, uważano je za „nieuczciwe". Łaźnie istniały w każdem mieście, nawet po wsiach, często przy wielkich dworach. Chodzili do łaźni wszyscy: możni i ubodzy, świeccy i duchowi.

W prywatnych domach łaźnia często służyła za bawialnię, zapraszano gościa do wanny, gdzie, przy jedzeniu, spędzano długie godziny na pogawędce.

Weszło w zwyczaj używanie kąpieli w przeddzień świąt i specjalnych uroczystości, jak np. przed pasowaniem na rycerza.

W Anglji pojawia się pierwszy raz przy koronacji Henryka IV (1399 r.) order Łaźni (Knights of the Bath).

W XIV i XV w. łaźnie zatracają, jak w czasach Cesarstwa Rzymskiego swój właściwy charakter i stają się miejscem rozpusty i zabawy. Nadto zaczynają być rozsadnikiem

(Ciąg dalszy na str. 8-ej).

Tęsknota do wiecznego ruchu

Pomysłowość ludzka nie zna granic. — W ciągłem i niezmordowanem dążeniu do uproszczenia życia, zaoszczędzenia pieniądza, czasu i pracy ludzkiej, uczeni dokonywują coraz to nowych wynalazków.

Odwieczny instynkt postępu i przyśpieszenia tętna naszego życia, datujący się z czasów przedhistorycznych, w wieku naszym wysunął się na czoło zagadnień, zaprzątających nasze umysły. Człowiek bieżącego stulecia, pokonywujący olbrzymie przestrzenie, usiłujący w krótkim okresie swego żywota zobaczyć i przeżyć wszystko, wydałby się swoim przodkom apokaliptycznym potworem, lub w najlepszym razie warjatem. Mamy już telegraf bez drutu, radjo bez anteny, przeprowadzono szereg udanych eksperymentów z kierowaniem okrętów na odległość, jedynie zapomocą fal elekromagnetycznych, jak również dzięki tymże falom sterowano samolotem bez pilota.

Każda nowo powstała idea, każdy najfantastyczniejszy napozór projekt, znajduje wkrótce zastosowanie. Po długim szeregu stuleci zaznaczonych mozolnym postępem cywilizacji, ludzkość w swych poczynaniach pędzi obecnie naprzód z zawrotną szybkością. Czy nerwy ludzkie wytrzymają to przyspieszenie tempa — na to potrafi nam odpowiedzieć tylko przyszłość.

Ostatnio rozwiązano kwestję, dręczącą od wieków uczonych. Oto wynaleziono zegar wieczny, idący bez nakręcania. System zapędowy tego perpetuum mobile jest następujący: Rurka w kształcie litery U jest wypełniona rtęcią, płynnym gazem i jego nasyconą parą. Jedną stronę rurki utrzymuje się zapomocą izolującego klosza w temperaturze możliwie równomiernej. Druga strona jest wystawiona na działanie powietrza i reaguje nawet na drobną zmianę temperatury. Różnica ciepłoty między obiema stronami rurki powoduje w nich różnorakie ciśnienia. Rtęć zostaje przesunięta na stronę o niższem ciśnieniu i powoduje poruszenie się metalowego obudowania rurki. Poruszenie to zapomocą kółka zębatego przenosi się na mechanizm zegara. Zmiana temperatury o 1° nakręca zegar na 120 godzin.

Odwieczna mrzonka ludzkości o stworzeniu wiecznego ruchu, znalazła rozwiązanie w genjalnej konstrukcji opisanego zegara.

Kiedy ludziom przyszła do głowy myśl o stworzeniu „perpetuum mobile", niewiadomo. Zapewne jeszcze w starożytności. Najdawniejsze jednak pomysły machin, któreby raz poruszone, obracały się ciągle aż do zużycia, utonęły w pomroce zapomnienia. — Z późniejszych wiele było tak jawnie niedorzecznych, albo tak dziwacznie skomplikowanych, że wspominać o nich nie warto.

Przyjrzyjmy się przy tej sposobności kilku pomysłom najbardziej prawdopodobnym, a zarazem najprostszym w wykonaniu. Niejaki Francis z Reading w Stanach Zjednoczonych zbudował przyrząd, w którym zastosował przyciągania magnetyczne, sprężystość i prawo ciążenia, mianowicie ruch wahadłowy. Na słupie C zawiesił wahadło zakończone magnesem M. Tenże magnes bujając nad łukowatą sztabą żelazną, ruchomą w środku, trącał sprężynę, która puszczała koniec sztaby L. Wtedy przyciągał ją ku sobie, a sztaba równocześnie popychała znów wahadło napowrót zapomocą ramienia GD, przytwierdzonego do osi. Rzecz napozór wygląda możliwie. Zapomniano tylko o tem, że każde wahnięcie musi pokonać opór powietrza, tarcie w punkcie zawieszenia C, oraz uderzenia, co przecież przeważa siłę nowego poruszenia wahadła prętem GD.

Inny wynalazek polegał na unoszącem działaniu wody, mianowicie na wypływaniu ciał lżejszych. W naczyniu z wodą obracała się dokoła dwóch walców rura gazowa, zamknięta i opatrzona woreczkami, do których przyczepione były po jednej stronie ciężarki. Stąd wszystkie woreczki z lewej strony rysunku są rozciągnięte, z prawej ścieśnione, lewa połowa rury jako lżejsza, obraca się ku górze, w kierunku strzałki. Tutaj zapomniano również o ciągłej stracie siły na rozszerzanie i zwężanie woreczków, oraz inne względy mechaniczne, które sprawiły, że maszyna zawiodła oczekiwania podobnie jak i w pierwszym przypadku.

Jeden z pomysłów polegał na zastosowaniu ciężarków ruchomych na obwodzie koła. Szereg ciężkich kul, osadzonych na końcach ruchomych drążków, w równych od siebie odstępach, poruszać miał duże koło w ten sposób, że kule opadając kolejno, działają na dłuższe ramiona dźwigni, a z przeciwnej strony podnoszą się krótsze ramiona. Równowaga jednak obojętna tego systemu nie pozwalała obracać się maszynie. Udowodnić bowiem nietrudno, że środek ciężkości jego przypada w miejscu obrotu, a przewaga jednej strony jest tylko pozorna.

Inne perpetuum mobile składało się z łańcucha, zwijającego się z górnego walca na dolny, przyczem z jednej strony (prawej na rysunku) łańcuch przechodzi po obwodach kółek dodatkowych, musi być zatem z tej strony dłuższy, a więc cięższy, niż ze strony przeciwnej (lewej). Taka stała przewaga powinnaby obracać łańcuch i koło ustawicznie, sądzili konstruktorzy. Maszyna jednak nie chciała funkcjonować.

Wkońcu należy wspomnieć o turbinie, którą miał poruszać spadek wody. Siły tej można użyć w części na pompowanie wody — kombinował wynalazca, — która wylewając się na to samo koło, może je poruszać. Okazało się jednak, że woda spadająca nie zdoła podnieść tej samej ilości wody na tę samą, co pierwej wysokość. Turbina otrzymywała sporo wody, ale daleko mniej mogła jej napompować do zbiornika, co powodowało stawanie maszyny.

Anglik W. Congreve zastosował włoskowatość do otrzymania wiecznego ruchu. Jeżeli — rozumował on — złączymy szereg gąbek tak, iż tworzyć będą trójkąt prostokątny, opasujący na rogach 3 bloki, a dolny bok krótszy zanurzymy w wodzie, nadto łańcuch gąbek opaszemy łańcuchem odpowiednich ciężarów, to oba łańcuchy podnosić się będą wzdłuż boku pochyłego. Na tej bowiem stronie ciężary wycisną wodę z gąbek i zamkną pory, a po stronie spadzistej gąbki nie naciskane, nasiąkać będą z dołu wodą, więc jako cięższe, będą stale przeważać. Ruch będzie powolny, ale ciągły.

Pomysł był oryginalny i miał pozory słuszności. Uczony nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że opadanie ciężarów na pochyły szereg gąbek i wyciskanie z nich wody, stanowi też siłę odpowiednią, która przeciwdziała tamtej

Problem wiecznego ruchu, nad którym mozolili się uczeni przez szereg wieków — został dopiero dzisiaj rozwiązany.

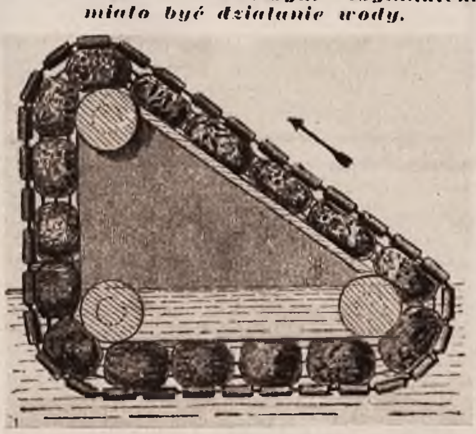
Jan Wierzbówka.



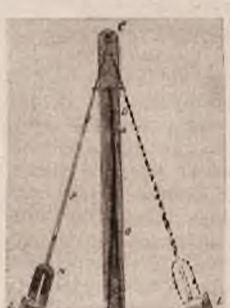
Ciężarki ruchome, osadzone na końcach ruchomych drążków, miały zapewniać ciągły ruch koła.



Na prawo: Projekt perpetuum mobile, w którem zasadniczym czynnikiem miało być działanie wody.

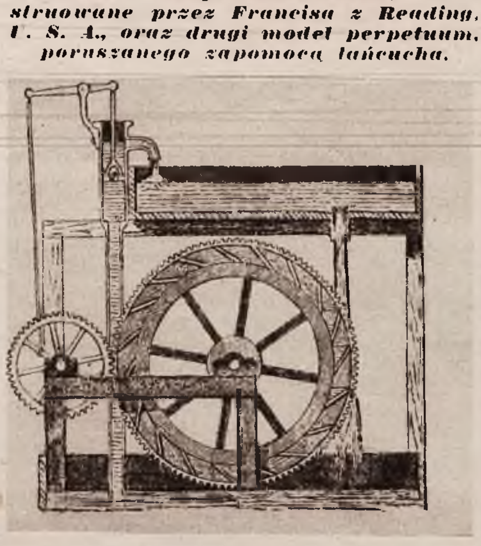


A oto jeszcze jeden projekt pomysłu Anglika W. Congreve, który wieczny ruch starał się uzyskać przez wykorzystanie włoskowatości.





Od lewej: Perpetuum mobile, skonstruowane przez Francisa z Reading, U. S. A., oraz drugi model perpetuum, poruszanego zapomocą łańcucha.



Turbina, poruszana spadkiem wody, miała stać się poszukiwanem perpetuum mobile.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W dniu 1 stycznia ukazała się tradycyjna serja znaczków finlandzkich z dopłatami na Czerwony Krzyż. Kraj „Tysiąca Jezior“ jest rzeczywiście jednym z najsympatyczniejszych dla zbieracza znaczków, a jesteśmy przekonani, że reprodukowane marki (z firmy Markowicz, Bielsko 3 Maja) są równie ładne i ciekawe, jak poprzednie serje. Ponieważ wydano je w 400.000 sztuk, będą dostępne dla szerszego kręgu filatelistów.

Barwy: 1,25 M. + 15 p. c. bronzowa, 2 M. + 20 p. c. karminowa, 3,5 M. c. niebieska. Znaczki wykonane są prawdziwie artystycznym sztychem, a krzyż, naturalnie w kolorze czerwonym, wdrukowany jest „czcionką“.

Historja Finlandji dała artystce Hammersten temat do przedstawionych scen morskich, ale niestety nie możemy o nich niczego napisać. Może wśród naszych Czytelników jest znawca historji tego kraju, któryby umiał wyjaśnić, co znaczą tajemnicze słowa „Uusimaa“ itp.?



U góry: Znaczek najnowszej serji Iranu. W rzędzie środkowym: Serja Finlandji na cele Czerwonego Krzyża. — U dołu: Najwyższa wartość z serji najnowszych duńskich znaczków.

Wobec tego, że zmiana oficjalnej nazwy „Persja“ na „Iran“ przyniosła za sobą wydanie nowych seryj, liczba znaczków tego kraju dosięgła już 707. Ze zbioru p. Schellera reprodukujemy jedną z 15 wartości za 1 rial 50 d. Wartość nominalna tak rzadkich u nas walut Finlandji, a zwłaszcza Iranu równa się za 1 M. 11 groszy, a za 1 rial 30 gr. Kurs tego ostatniego jest zresztą bardzo zmienny.

Dobry przykład krajów północnych nie oddziaływuje widocznie na państwa południowe. Napewno wielu zbieraczy kolekcjonowałoby „Hiszpanję“, gdyby tam ukazywały się tak skromne serje, jak w Finlandji lub Danji. To niewielki wydatek w postaci dopłaty po 5 öre do trzech sztuk za 5 ö, 10 ö i 15 ö (zielona, bronzowa, wzgl. czerwona), a można za to otrzymać znaczki ładne i oryginalne. Wiatrak, typowy dla owych stron, to nie codzienna dotąd rzecz na znaczku!

Pocieszającym do pewnego stopnia faktem jest to, że w ubiegłym roku wydano znacznie mniej znaczków dobroczynnych, aniżeli w ostatnich latach. Wszystkich znaczków wydrukowano w 1936 r. 1.432, t. zn. o 330 mniej, aniżeli w 1935. Oby jeszcze i ta liczba uległa redukcji!

W. H.

Odpowiedzi redakcji.

P. St. B. — Poznań. Adresy zbieraczy w Austrji znajdzie Pan w niemieckim piśmie „Postwertzeichenmarkt“ (Pössneck i. Th.), czołową firmą wiedeńską jest W. Friedl, Wien I, Wollzeile 8, mniejszemi: Weiss: Wien I, Liebenberggasse 6 i Löbel: Wien IV, Kühnplatz 3.

P. J. Teitelbaum — Schodnica. „Związek Filatelistów Polskich“ został założony w ub. roku, jednakowoż nie wykazuje dotąd żadnej działalności. Najlepiej będzie, jeśli zwróci się Pan (zapisze?) do Krakowskiego Związku Filatelistów (Kraków, Szczepańska 2, Inż. Turski), albo do Warszawskiego Klubu Filatelistów.



Oryginalna koperta, nadana z Wystawy Znaczków Polskich w Amsterdamie. Na wystawie tej zainstalowano specjalny urząd pocztowy, posiadający własny kasownik i nalepkę rekomendacyjną.

P. Onoszko Ludwik — Warszawa. Odpowiedzi listownych nie udzielamy. Znaczki przebite firmowo, to „problem“, którego nie można rozważyć w tak szczupłych ramach, poświęcimy mu specjalny „kącik“. Znak wodny ujawnia się w benzynie, (we wodzie słabiej). Benzyna nie rozpuszcza gumy. Znaczki wymienione nie są katalogowane i wartości nie mają. Według Michla oblicza się wartość rzeczywistą od 30 do 50 gr, za 1,—, a przy niestemplowanych z ostatnich lat cenę nominalną.

P. Z. Wójcik — Kraków. Artykułu nie wydrukujemy; podobne omówienie zamieścił Pan w Dodatku I. K. C. i Wiadomościach Filatelistycznych. Do łaskawego odebrania w redakcji.

Klub Filatelistyczny Polskiej Y. M. C. A. — Kraków, Krowoderska 8, zmienił terminy zebrań na środy, godz. 19.30.

Obecny adres Dorotheum: Wien, I. Dorotheergasse 11. Aukcje znaczków co tydzień.

Dokończenie ze str. 5-tej.

zakaźnych chorób, to też potępiają je duchowni i lekarze, wskutek czego powoli zaczynają znikać. Jedynym w swoim rodzaju zabytkiem średniowiecza była łaźnia publiczna na rynku w miasteczku Aargau, gdzie w ciepłej wodzie sadzawki mężczyźni i kobiety kąpali się na widoku publicznym.

W wieku Oświecenia łaźnie znajdują się już tylko gdzieniegdzie przy możnych dworach. Dopiero za przykładem Anglji, zawsze dbającej o czystość i w reszcie Europy pojawiają się łaźnie, tak, że w drugiej połowie XIX w. nie ma już większego miasta bez publicznej łaźni.

Przechodząc zkolei do omówienia dziejów łaźni w Polsce, zaznaczyć należy, że znaną ona była od przedchrześcijańskich czasów. Najdawniejszy kronikarz ruski, Nestor, w opowieści swej o św. Andrzeju, apostole Rusi podaje w rozdz. VII, jak przeszedłszy w górę rzeki Dniepru, przybył do Słowian, gdzie leży Nowogród. „Widziałem — pisze — rzeczy dziwne, banie drewniane i piece kamienne, które mocno rozpalają, ludzie zwlekają się do naga, polewają się ciepłą wodą i winnikami się chłostają, tak mocno, iż ledwi żywi wychodzą, lecz wyszedłszy polewają się zimną wodą, która ich ożywia i codzień to czynią. Nikt zaś ich nie chłosta, tylko sami siebie". Były to łaźnie parowe, które przetrwały wieki. Pierwsze ślady łaźni publicznych mamy w Poznaniu w r. 1257 i w Warszawie za panowania ks. Mazowieckiego, Janusza Starszego w r. 1376.

Marcin Gallus pisze o Bolesławie Chrobrym, że w bani łaziebnej często kąpieli używał, a gdy czasem miał kogo z młodzieży poprawić lub ukarać, brał go ze sobą do cieplicy, gdzie nie żałując własnej ręki, ociąwszy dobrze rózgą młodzika i upomniawszy z nowym odzieniem odprawiał. Z tego to zwyczaju wielkiego króla powstały dawne przysłowia „Sprawić komu łaźnię" t. j. skarcić lub ukarać, mniej popularne „Dać komu ścierkę po łaźni", t. j. ukarawszy pogłaskać. Władysław Jagiełło był wielkim zwolennikiem łaźni, używał jej, co trzeci dzień. List papieża Eugenjusza pozwalał bratu Jagiełły, Świdrygielle używać dla zdrowia kąpieli nawet w niedzielę, co było zabronione przez duchownych.

Ostatni Jagiellonowie byli też ostatniemi zwolennikami łaźni. Następni królowie już jej nie lubili i nie używali. Utrzymywały się łaźnie w kraju, ale podtrzymywał ten zwyczaj raczej lud. Oczywiście przy wielkich dworach istniały zawsze łaźnie. U nas jednakże mężczyźni i kobiety kąpali się osobno, co zawsze było przestrzegane. Łaźnie parowe mieściły się w drewnianych budynkach. Puszczano je w dzierżawę łaziebnikom za umówioną opłatą, którzy płacili podatek skarbowi publicznemu, wynoszący w roku 1580 po 15 groszy od osoby. Urządzenia policyjne zobowiązywały ich w przypadku pożaru do niesienia wody, celem ugaszenia ognia.

Górnicki tak mówi o łaźni w „Dworzaninie": „Ten świat moim zdaniem jest takim, jako pospolita łaźnia, albowiem, jako do łaźni pospolitej kto wnijdzie, ten musi cierpieć wiele niewczasów, tak w łaźniach niektórzy nacierają ciało gorzałką i mydłem, albo i maścią na miejsce stłuczone i pobite lub stawiają bańki i sieczą się winnikiem — zasię jeden woła: zalej, drugi drzwi otwieraj, tak na ten świat, kto się urodzi cierpieć musi".

Od czasów Zygmunta III za przykładem zcudzoziemczałego dworu panowie i szlachta zaniedbywali łaźni. Brak opieki nad ludem wiejskim, zerwanie stosunków patryjarchalnych, upadek miast, wszystko to razem spowodowało upadek łaźni, która podobnie jak w reszcie Europy rozpowszechniła się znów w XIX w.

Mgr. K. Dienstl-Kuczyńska.

SZCZĘŚCIE

KTÓRE ULECIAŁO

ANTONINA TEODOROWICZ NOWELA

Mieszkała przy ulicy, która dziwnym zrządzeniem losu nazywała się Różana — choć nawet najstarszy mieszkaniec nie pamiętał na niej ani jednej różyczki, a zapach, który się tam roztaczał, nie zasługiwał nigdy na tę woniejącą nazwę. Domek był stary, jednopiętrowy, siłący się na trzymanie się z godnością i migocący czasem w słońcu złudną bielą zszarzałych murów. Mieszkała na końcu korytarza, wąskiego, o jednem oknie nigdy nie otwieranem, o szybach, w lecie — zasnutych pajęczyną i kurzem, w zimie zaś ubranych w najcudniejsze, lodowe kwiaty. Z ciemnego mroku korytarza, zimowe delikatne rysunki, z zewnątrz ozłocone słońcem, zapierały dech w piersiach pięknością linji i subtelnością form. Przy oknie, niedaleko, były ostatnie drzwi.

Na ich ciemnem tle widniał przybrudzony trochę stary bilet wizytowy, przybity pluskiewkami. Czarne literki mówiły każdemu ciekawemu nic nie znaczące nazwisko.

Wracała do domu z biura późno popołudniu — ciężko szła na górę po schodach, machinalnie licząc półgłosem stopnie:

— Raz-dwa-trzy-cztery...

Ale myśli zasnuwał ciężki opar zmęczenia i nie doliczyła nigdy do końca. Przechodziła wolno korytarz, zahaczając wzrokiem o okno. Za niem były dnie jasne lub deszczowe, czasem była wiosna, czasem śnieg zatulał je białą sukienką.

Nie obchodziło jej to.

Zrzucała w pokoju prędko ciemną, biurową suknię i włożywszy stare, wygodne kimono, rzucała się w objęcia zielonego fotela przy piecu. Nawprost, za oknem, widać było wielkie, rozłożyste drzewo. Kiwało się sennie na wietrze — powtarzało monotonnie z dnia na dzień:

— Czas leci... czas leci — czas...

Zegar tykał zbyt głośno. W małym pokoju było za gorąco lub za zimno. Pusto. Samotnie.

Przymykała ciężkie powieki. Wirowały pod niemi wtedy cyfry — cyfry — cyfry... Miljony, miljardy cyfr, małych, czarnych znaczków uparcie wciskających się w pamięć. Starała się nie myśleć o nich. Zarzuciwszy ramiona nad głową pod szczelnie zamkniętemi powiekami, wywoływała obrazy najpiękniejsze, najmilsze.

Były to zawsze nierealne, dalekie kraje. Jakieś morza błękitne, kołysane wiatrem łodzie na falach... czuła nieomal, jak wielka, szczęśliwa cisza, złożona z bełkotu morza, z gry wiatru, z krzyku dalekich mew i blasku słońca, opada na przymknięte w zachwycie oczy.

I wtedy nagle na przejasnym blasku słońca wyskakiwała natrętna myśl:

— Nie zgadzało się dzisiaj o dwa złote! Co to może być? Trzeba jutro wstać wcześniej... sprawdzić!

I stukot biurowych maszyn wypłaszał z mózgu najcudowniejszą opowieść o dalekich morzach.

Tak było codzień, od lat i przyzwyczaiła się już do tego. Mózg stępiał, ułożył się do snu wygodnie i na długo. Ciało pragnęło tylko jednego: leżenia i snu.

Ale z tym snem było najgorzej. Gdy przychodziły ciemności, rozświetlone słabo daleką lampą na zakręcie Różanej uliczki — sen odlatywał od wołających oczu i złośliwie zawisał na końcach rzęs, sfruwał, plątał się po kątach, łaził opieszale po kołdrze, uśmiechał się złośliwie i pytał:

— Chcesz spać? Chcesz spać?

— Idę... idę już... — szemrał obłudnie i podsuwał się bliziutko, coraz bliżej, bliżej... kładł się tuż przy oczach, stulał piekące powieki i ciemnym, ciepłym oparem zamraczał myśli coraz głębiej i głębiej...

A potem zrywał się nagle i z urągliwym chichotem umykał, by zacząć znowu krążyć wokół łóżka w śmiesznych podrygach, ciesząc się z wypłatanego figla.

Dnie i noce. Jedne za drugiemi, podobne do siebie, prawie jednakowe, przerywane mało znaczącemi sprawami.

Życie małego miasteczka...

— Czy pani wie, że burmistrz ma nowy powóz? A ta burmistrzowa? Co pani na to? Takie sumy na stroje, na szmatki, te suknie! Te kapelusze!

— A te bućiki? Pani widziała?

— A bielizna? Moja pani... Naco jej taka bielizna? Chyba, że nie darmo mówią, że

ona... — i jedna głowa pochyla się ku drugiej, oczy błyszczą, a usta sączą lepkie, obrzydliwe szczegóły i słowa, lubują się w nich, pieszczą, upiększają i dodają... Wszechpotężna pani Plotka zrodzona z nudów i ciszy małomiastowego dnia, święci wieczysty triumf.

Przyzwyczaiła się już. Dni płyną równo, jak gładkie kulki, jednakowo wypełnione pracą, krótkim spacerem, czasem marnym kinem, przyjściem koleżanki z biura... Jest to życie nawet wygodne, bez burz, bez niespodzianek...

Jak tyle, tyle innych.

Tego dnia padał deszcz. Gdy wracała z biura do domu, błoto oblepiało nogi, zimny wiatr wciskał się w zeszłoroczne palto i przebiegał dreszczem po plecach. Prędko wbiegła na schody, zrzucając po drodze płaszcz ociekający wodą. Ach, żeby prędzej napić się gorącej herbaty, i zjeść coś dobrego na obiad! Ale trzeba sobie samej przecież przygotować... co za zachcianki!

A gdy już nie drży się z zimna i wiatru, można wygodnie ułożyć się w fotelu i machinalnie rozłożyć gazetę. Wiadomości z dalekiego świata... plączą się i splatają ze sobą w dzwoniący obcością rytm.

...„W Hiszpanji walki" —

„Na dalekim wschodzie wre" —

„Para królewska w Krynicy" —

„Budżet"... „Nowy film z Gretą Garbo"...

„Ciągnienie loterji państwowej... Miljon!"

— Miljon! — to słowo błyszczy nagle światłem, rozpala w płomień krew. Miljon! Przecież w szufladce na dnie, jest ta mała ćwiartka papieru z pieczątką kolektury.

Numer 47562.

Miljon!

Rzuca ukradkiem okiem. Ostrożnie, żeby nie spłoszyć głupiej, szalonej nadziei. Jest numer — czarne literki pełzają wolniutko... 4-7-5...

Nie, nie ma odwagi patrzeć dalej! Trzy liczby się zgadazją. Nonsens. A jednak... A jednak!

Zrywa się nagle. Drży. Gdyby wygrała, Boże, gdyby wygrała!

Rozgorączkowana chodzi, nieomal biega po pokoju, a gazeta leży na fotelu i krzyczy na nią cyframi 4-7-5!

Ale dalej?

...Mogłaby wyjechać do Warszawy. Ależ nie, dalej! Dalej! Uciec od wiatru, deszczu i jesieni, od małego miasta, od Różanej ulicy! Ubrać się w miękkie, lśniące materje, i w bieliznę chłodną w dotknięciu, pieszczotliwie tulącą w jedwabne objęcia całe ciało. Wsiadłaby do pociągu z niebieskim sypialnym wagonem, który tylko raz dziennie zatrzymuje się tutaj. I biało ubrany boy powiedział by jej wieczorem:

— Dobranoc, madame!

Wielkie hotele, wielkie miasta, wielkie życie! Barwne, jasne dni, przeplatane winem, muzyką, morzem i przejażdżkami autem po tak gładkich autostradach... I słońce, słońce, słońce!!

Jeden skok, i jest przy gazecie. Nie zwraca uwagi na maleńki napis „bez gwarancji". Opętane żądzą, rozgorzałe nadzieją oczy chłoną do końca liczby:

47562!

Jeszcze nie wierzy! Porusza wargami niepewnie, bezmyślnie powtarza w kółko:

4-7-5-6-2.

Czy to możliwe, czy to naprawdę możliwe? To nie cud? Nie pomyłka? Boże! Boże!

Szalone, gorące szczęście zalewa jej serce tak wielką falą, że przez chwilę nie wie, co się z nią dzieje i gdzie się znajduje. Ale gazetę trzyma mocno w zaciśniętych tak silnie rękach, że papier drze się i szeleści złowrogo pod palcami.

Jest to tak nieoczekiwane, cudowne, przygniatające zbyt wielkiem wrażeniem! Nie można wprost znieść tej myśli, że nagle wszystko się zmieniło, nabrało sensu i barw. Życie nagle jest lekkie i bajecznie kolorowe, jak najpiękniejsza bańka mydlana. Ucisza serce... ucisza rozszalałe, roztrzepotane myśli! Cicho, cicho, bo pryśnie, rozpęknie się, zniknie tak nagle, jak przyszło, i zostanie znów tylko szary dzień powszedni.

Więc ostrożnie! Jeszcze raz wyszeptać numer. A potem chwycić za płaszcz i nie spojrzawszy nawet do lustra, nakładając po drodze kapelusz, biec do miasta, na pocztę do telefonu. Byle prędzej!

Zapomniała zamknąć pokój. To nic, to nic! Deszcz pada — to nic, przecież jest taki cudownie chłodny, a wiatr tak wesoło rozpryskuje jasne krople na kałużach wody! Miły, najmilszy jesienny wiatr, niosący zgniłe, fruwające liście.

Nogi niosą same naprzód, są sprężyste, silne, młode. Zmoczone deszczem włosy uderzają z wiatrem po rozpłomienionych policzkach.

— Pojadę do Włoch! — myśli gonią jedne przez drugie, roześmiane, najśmielsze. — Na Sycylję, do Egiptu, może do Afryki? Ameryka? Ach, tak, wielkie miasta i wielkie domy o sześćdziesięciu piętrach. Panowie w słomkowych kapeluszach... Trzeba się nauczyć po angielsku. I po francusku! Bo przecież Paryż? Paryż! Wyśnione miasto! Suknie od Wortha i Patou. Poematy z koronki i gazy. Perfumy. Galerje i muzea...

A może miłość?

Biały jacht, srebrne fale iskrzące się drobno przy delikatnym wietrze, muzyka, i — On! Mocne, szerokie ramiona, tulące tak władczo w objęciach, i usta ciepłe, gładkie przy skroni, tchnące oddechem tak blisko...

Dopadła poczty. Znajomi obrzucili ją zdziwionemi spojrzeniami, ale nie zważając na to, wbiegła do budki telefonicznej i zamówiła rozmowę. Drżąc z niecierpliwości, tupała bucikiem o brudną podłogę i machinalnie odgarniała mokre włosy z czoła. Wreszcie zadygotała na dźwięk dzwonka i przyłożyła słuchawkę do ucha.

— Proszę mówić! Hallo! Warszawa mówi.

— Czy to kolektura?

— Tak, proszę?

— Chciałabym się dowiedzieć... dowiedzieć, czy na los 47562 padł miljon? To prawda? To prawda? Czytałam właśnie w gazecie i...

— Zaraz, proszę pani, sprawdzę. — Zimny głos męski po tamtej stronie oblał ją zimną wodą. Poczuła nagle, że serce zamiera w niej i lodowacieje.

— Jeżeli jednak nie... jeżeli pomyłka? — przeszyła ją ostra, okrutna myśl. I w tej chwili ogarnęła ją niezachwiana pewność:

— Nie wrócę do tego życia. Nie mogę! Nie potrafię!

W słuchawce zabrzęczało. Rzuciła drżące pytanie, błagające o litość:

— Więc... proszę pana? Czy...?

— Pomyłka, proszę pani! — Głos jest taksamo zimny, tylko jakby trochę drwiący teraz, a po chwili niecierpliwi się i woła głośno:

— Hallo! Mówi się! Czy pani słucha?

— Tak.

— Pomyłka, to się zdarza. Pisma podają bez gwarancji, miljon padł na 47582. Czy pani słucha?

— Tak.

— Czy rozmowa skończona? Hallo!

— Tak.

— Trzy minuty, proszę.

Zabrzęczało... Umilkło... .

Jest nagle bardzo cicho i zimno. Trzymała długo słuchawkę, potem położyła ją ostrożnie, jak bardzo cenny przedmiot, na widełkach. Za podwójną szybką widziała daleki deszcz. Monotonnie, kropla po kropli spływał po zewnętrznej stronie szyb jasnemi łzami, tworząc małe dróżki. Obróciła się, nacisnęła klamkę i wyszła. Podeszła do okienka i zapłaciła. Powiedziała wyraźnie i głośno:

— Dowidzenia!

Wyszła na ulicę w rozpiętym płaszczu i nieliczni przechodnie oglądali się za nią ze zdumieniem. Krok za krokiem szła przed siebie, nie myśląc o niczem i nie pragnąc niczego.

Czyż to nie było już właściwie wszystko jedno?

Zimny, ostry wiatr zawiał nagle z za rogu, zatargał suknią, szarpnął płaszczem i przeniknął ją lodowatym podmuchem. Szła dalej, nie bardzo wiedząc nawet dokąd idzie. Droga mijała pod jej nogami, buciki stały się mokre i ciężkie od błota. Zamajaczył we mgle most nad rzeką.

Stanęła i przechylona przez niewysoką poręcz patrzyła bezmyślnie w wodę. Była mętna, żółto-szara, z pływającemi papierkami i drzewem.

— Musi być bardzo zimna — pomyślała jasno — zimna i brudna...

Przewijały się małe, leniwe fale, a myśli goniły je jeszcze leniwiej, senniej, wolniej...

— Więc wszystko jest jak dawniej! A jednak zupełnie inaczej. Dawniej (kiedy?) było możliwie. Można było żyć z dnia na dzień, bez pragnień i żalów i życie było niezłe, spokojne, ułożone, pokratkowane w godziny. A teraz?

Teraz? Nagle zmieniło się wszystko. Grunt, utkany z wielu szarych, monotonnych dni pracy, nagle obsunął się pod nogami i straciłam równowagę. Nie potrafię teraz już wrócić do tego, co było, do pracy, do biura. Wszystko jest stracone. Stracone! Niema powrotu.

Przesunęła ręką po policzkach i uczuła ze zdumieniem, że są ciepłe od łez. Oczy paliły i piekły.

— A jednak nie potrafię się zabić! I nie mogę żyć! Więc co dalej?? Nie mam już siły, Boże, nie mam siły!

Poruszyła nogami. Były ciężkie ,jak z ołowiu. Wolno zaczęła iść dalej. Wyszła na drugą stronę rzeki, gdzie brzeg był poszarpany i urwisty, a woda pod nim głęboka i mętna. Śliska glina przylepiła się do bucików, utrudniała kroki, ale szła bezmyślnie dalej, bez celu.

Poślizgnęła się. Zamachała rękami i z trudem odzyskała równowagę.

— Mogłam spaść i utopić się — pomyślała leniwie. I zaraz potem mruknęła półgłosem do siebie: — To i cóż?

Brzeg był śliski. Wiatr zatargał nagle płaszczem, owinął go koło nóg, zatamował ruchy. Pomyślała, że trzeba może jednak wracać. Można było łatwo znów utracić równowagę.

Przed oczami latały jej czarne płatki, jak małe, szybkie ptaszki, płoszone ruchem rzęs. Zawróciła.

I nagle wiatr uderzył ją z świstem, wściekłym rzutem cisnął jej w oczy garść kroplistego deszczu, oślepił, ogłuszył, zawył koło uszu. Poderwał nogi z lepkiej gliny.

Poślizgnęła się, obsunęła jedną nogą.

— Boże! — krzyknęła cicho.

Starała się wrócić do równowagi, ale ręce były bezsilne i nie miały się czego uczepić. Zamachała niemi rozpaczliwie w powietrzu, poczuła lodowaty podmuch wiatru, zachłysnęła się nagle łzami i deszczem, i cicho, prawie bezgłośnie zesunęła się po stromym brzegu do wody.

Chciała krzyknąć o ratunek, ale okropny strach zaciął jej szczęki i nie pozwolił otworzyć ust. Słabo broniła się mętnym falom.

Jeszcze zaczerpnęła raz kurczowo powietrza i rzeka zamknęła się nad nią cicho. Tylko krople deszczu bite wiatrem spadały dalej głośno na fale i na żółty, śliski brzeg rzeki.

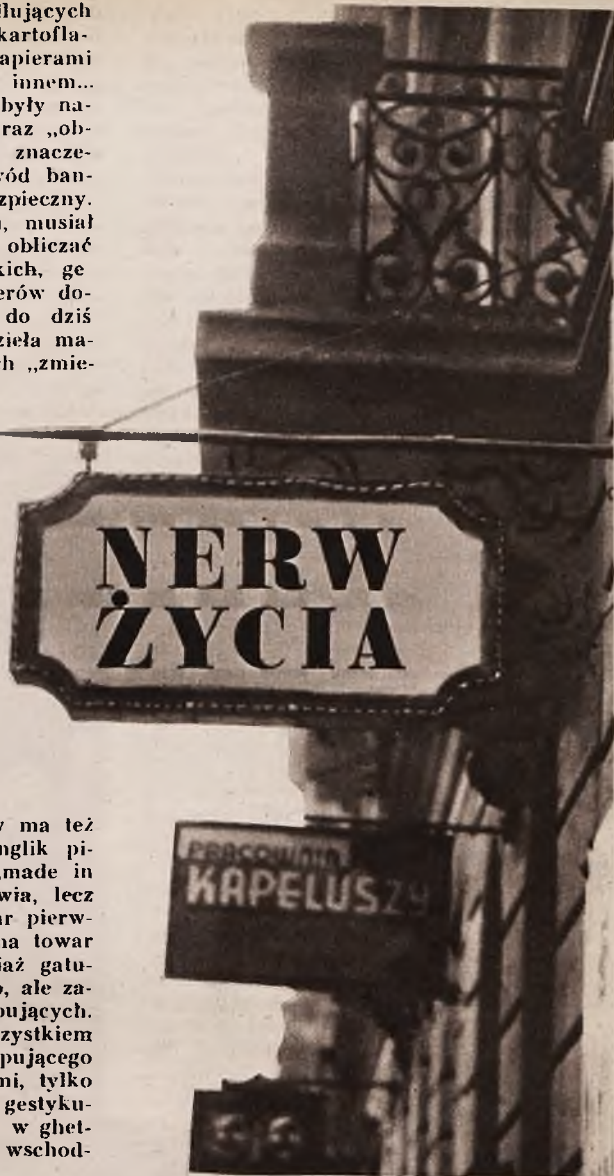
Ciepły deszcz wiosenny przysnuł cały świat szarą zasłoną. Lampy dawały tylko przyćmione świetliste koła, na tle których krople deszczu tworzyły jakiś niespokojny deseń. Ulice pustoszały, od czasu do czasu przejeżdżała spóźniona dorożka. Józef od kilku godzin kręcił się bez celu po mieście, bo nie mając noclegu ani pieniędzy szukał szczęśliwego przypadku, któryby mu pomógł w jego beznadziejnej sytuacji. Teraz dopiero, gdy biedny i opuszczony znalazł się w wielkiem mieście, zrozumiał czem jest ulica, zamykająca wieczorem bramy swych domów, pogrążająca się w bezlitosnej ciszy, ulica wroga i zła. Zrozumiał czem jest trotuar, zimny i niegościnny. Przypomniał sobie, że podobno pieniądze leżą na bruku, trzeba tylko umieć je podnieść. Gdzie ich szukać? Jak je zdobyć? A mimo wszystko nie zwątpił w swoją gwiazdę, był przekonany, że jednak zdoła wydźwignąć się z dna nędzy.

Coś go ciągnęło do głównego dworca. Jedno z głównych centrów ruchu, pełne przyjezdnych, tętniące życiem, gwarem, świstem lokomotyw, krzykami tragarzy, pasażerów. Stanął pod ścianą budynku i obserwował falę ludzką, która co pewien czas wypływała drzwiami budynków dworcowych. W pewnej chwili zauważył kilka wytworne ubranych osób, które w towarzystwie dwóch tragarzy starało się coś wytłumaczyć taksówkarzowi. Dolatywały go słowa angielskie, i nieporadne odpowiedzi szofera. W Józefie obudził się duch kupiecki: znał język angielski, mógł pomóc przyjezdnym i zarobić na tem. Podszedł i ukłoniwszy się im, objął rolę tłumacza i informatora. Anglicy z wdzięcznością posłyszeli ojczysty język w obcym kraju. Zawiózł ich do hotelu, poinformował o kilku szczegółach i zarobił dwa złote. Pierwszy krok był zrobiony.

Handlować można wszystkiem, gdyż istnieje popyt na wszystko, ale głównemi

„konjunkturowych“ ludzi, handlujących szmalcem, butami, materjałami, kartoflami, zbożem, paszportami, tajnemi papierami sztabów generalnych i wszystkiem innem...

Dawniej za czasów kiedy waluty były nader niepewne, gdyż ulegały raz po raz „obcięciom“ w dosłownem tego słowa znaczenu, przez samowładzę książąt, zawód bankiera był lukratywny ale też niebezpieczny. Z wagą w ręku, z lupą przy oku, musiał on badać każdy dukat czy floren, obliczać jego wagę i kurs. Wielu florenckich, genueńskich czy augsburgskich bankierów doszło do miljonowych fortun, a do dziś przechowały nam ich twarze arcydzieła malarstwa. Dzisiaj odpowiednikiem tych „zmieniaczy pieniędzy“ nie jest bank, ale giełda, łącząca się z nimi oczywiście nader ściśle. Ale to już są wyżyny handlu, to „wyższa szkoła“ tej jazdy, którą rozpoczyna się zwykle na... własnych nogach, zanim dojdzie się do Rolls Royce'a, czy też rasowych koni i stajni wyścigowej.



W miarę powstania techniki kupieckiej i ustalania się pewnych systemów ekonomicznych, tworzą się też typy kupców, chociaż jest to również uzależnione od rasy, temperamentu i szerokości geograficznej. Inny jest kupiec londyński, inny paryski, inny znów kupiec Wschodu. Ale każda klasa kupców ma też swoje charakterystyczne cechy. Anglik piszący na swych towarach dumne „made in England“, nie zachwala, nie namawia, lecz pewny jest zwycięstwa, bo ma towar pierwszorzędny, chociaż drogi. Niemiec ma towar tani i dostępny dla każdego, chociaż gatunek jego jest gorszy od angielskiego, ale zato może liczyć na większe rzesze kupujących. Kupiec wschodni jest przedewszystkiem aktorem, umiejącym zdobywać kupującego gestem, wymową i różnemi fortelami, tylko jemu wiadomymi. Natarczywość i gestykulacja tej kategorji, pozostała i u nas, w ghettach naszych miast. Inny typ kupca wschod-





Od lewej: Składy „bukinistów“ ciągnące się w Paryżu nad Sekwaną zwabiają licznych bibljofilów. — Aukcje zbiorów starożytności stanowią specjalny dział w życiu handlowem.

artykułami pozostaną usługi wszelkiego rodzaju i towary. Jeżeli początki karjery sir Bazylego Zacharowa wyszły z loży portjerskiej, w której udzielał on informacji gościom małego hoteliku, to znów młody Rockefeller sprzedając gazety i sznurowadła wtajemniczał się w wartość pieniądza i technikę kupiecką. Obaj wyszli na tem nieźle. Oczywiście, że jak i wielu innych, umieli oni wyczuć konjunkturę, umieli przewidzieć popyt i przygotować towar. Czasy wojenne stworzyły specjalny gatunek tych

Obok: Na jarmarkach bułgarskich jednym z głównych towarów są tuczone gęsi przynoszące wieśniakom poważny dochód.



niego, to znowu obojętny na wszystko, palący fajkę, siedzący na swym dywanie właściciel bazaru, czy składu, który posiada minę jakby klienci go wogóle nic nie obchodzili. Znani byli przed wojną kupcy rosyjscy, którzy na słynnych targach i kontraktach w Niżnym Nowogrodzie, Kijowie czy Saratowie zawierali transakcje miljonowe. Nie

umiejąc często ani czytać ani pisać, dokazywali oni istnych sztuk „buchalteryjnych“, notując sobie każdy zarobek na długim kiju zapomocą wcięć. Podobno każdy nowy miljon rubli oznaczany był podwójną kreską!

Dzisiejsza reklama, stanowiąca osobną sztukę i zatrudniająca tysiące artystów, elektrotechników, i aranżerów wszelkiego gatunku, już wcześnie poczęła się rozwijać w skromnych ramach szyldu. Ustaliły się pewne godła dla kupców, które i dziś jeszcze są ogólnie zrozumiałe: złota miska dla fryzjerów, dwa skrzyżowane topory dla rzeźników, głowa końska dla stajni wynajmujących powozy, itd. Było ich oczywiście w średniowieczu znacznie więcej, a jeszcze dziś w starych dzielnicach Paryża można spotkać nadwyraz oryginalne godła i szyldy. Jedna z dynastyj finansjery europejskiej Rothschildowie zawdzięczają takiemu właśnie godłu — czerwonemu szyldowi — swe nazwisko. Stworzenie spisu starych firm kupieckich w centralnej Europie byłoby rzeczą nadwyraz ciekawą i pouczającą, wiemy przecież, że istnieją jeszcze rodziny kupieckie, które prowadzą przedsiębiorstwo od setek lat. Taką starą firmą jest fabryka wody kolońskiej w Kolonji, „Jan Marja Farina“, założona w XVIII w., taką jest słynna winiarnia Fukiera w Warszawie na Starem Mieście a ostatnio pisma londyńskie podały wiadomość, że pewna rodzina płatnerzy, wykonywująca swój zawód od kilkuset lat, sporządza i dziś w dalszym ciągu swe zbroje i broń dla... teatrów londyńskich! U nas gdzie kupiectwo mniej znacznie było rozwinięte niż w innych krajach, tych starych firm jest niestety coraz mniej. A ciekawa to rzecz — życie takiej komórki handlowej, jej psychologja, jej wzrost i upadek. W swej sztuce „Firma“ Hemar dał nam przekrój psychologji współczesnego polskiego kupca o pięknych tradycjach, przyczem był to właściwie opis życia firmy Leitgeber w Poznaniu. Wokulski w „Lalce“ B. Prusa“, to niejako pendant z czasów wojny krymskiej. Piękne tradycje kupieckie posiada Lwów, Kraków, Warszawa, Poznań, Kamieniec Podolski, Kijów, Toruń. Znana fabrykacja pierników toruńskich przechodziła przez ręce szeregu generacyj, podobnie jak się to działo w Gdańsku. Specjały tych miast dochowały się w przysłowiu, skoro ono mówi: „warszawski trzewiczek, toruński pierniczek, gdańska wódeczka, krakowska dzieweczka!“

Od małych sklepów i składów niedawnej jeszcze przeszłości, przeszedł handel do olbrzymich magazynów, bazarów, w których setki ludzi krząta się jak mrówki, niezliczone dzwonią telefony, znaki świetlne informują klientów, windy i „latające“ schody ułatwiają przenoszenie się z miejsca na miejsce. Chociaż już Warszawa Stanisława Augusta posiadała swój bazar Teppera, gdzie, jak pisze współczesny, można było dostać wszystkiego, od piwa angielskiego do kocza, to jednak dopiero schyłek wieku XIX i wiek XX stworzył liczne domy handlowe, jak „La belle jardinière“, „Au printemps“, „Galeries Lafayette“, „Braci Jabłkowskich“, — „Tietz“, „Wertheim“ i t. d.

Na temat wykorzystania możliwości handlowych istnieje wiele recept, podręczników i a-



Warszawski handlarz uliczny z początków XIX wieku, sprzedający cebulę, czosnek i sieci (rys. Jakóba Sokołowskiego).



Oto typowy paryski handlarz uliczny, u którego za kilka sous można dostać torebkę gorących kasztanów.



„Bankier i jego żona“, obraz niderlandzkiego malarza Metsysa 1466—1530.

negdotek, wyjętych z życia potentatów finansowych. Mówi się zazwyczaj, że najtrudniej jest zarobić... pierwszy miljon, ale jest to raczej shawowskim paradoksem.

Najlepiej scharakteryzował swój system zdobywania majątku pewien amerykański miljarder, który oświadczył, że majątek zawdzięcza jedynie temu, iż w danym razie robił zawsze to co należy! Nie dodał, rzecz prosta, co należy uważać za waściwe w takiej czy innej sytuacji życiowej. I to pozostanie właśnie tajemnicą tych wielkich konkwistadorów XX wieku. Oczywiście, że przypadek, klasyczny ślepy traf, przysporzył niejednemu majątku. Rothschildowie, jak wiadomo, zdobyli swój majątek głównie dzięki temu, że pierwsi dowiedzieli się o klęsce Napoleona I pod Waterloo i natychmiast sprzedali wszystkie papiery francuskie, kupując jedynie papiery angielskie na londyńskiej giełdzie. Inny zbieg okoliczności przysporzył zwykłemu robotnikowi fabryki czekolady Meunier'owi duży majątek. Meunier, który następnie sam założył wielką fabrykę, dowiedział się pewnego razu, że zapasy czekolady zmagazynowane w jego fabryce, pokryły się pleśnią, która jednak nie psuła bynajmniej smaku. Dyrektorzy fabryki byli w rozpaczy, gdyż nie można było, rzecz prosta sprzedawać tego towaru jako „normalnego“ a przetopienie tej olbrzymiej ilości nie opłacało się. Meunier słysząc o kłopotach dyrekcji, udaje się do niej i proponuje im zakupienie całego zapasu na kredyt. Wkrótce w pismach paryskich ukazuje się ogłoszenie: „Żądajcie wszędzie czekolady Meunier z białemi plamami“. Publiczność zaintrygowana nowym wyrobem kupuje po normalnej cenie „łaciatą“ czekoladę i pierwszy fundament pod majątek przyszłego miljonera został położony! Począwszy od najdawniejszych czasów, aż po dziś dzień, od kupców fenickich i asyryjskich aż do Kreugera, Lebaudy, Rothschildów, Medyceuszy czy też Rockefellerów, umysł ludzki coraz to innemi sposobami zabiega o klientów, coraz to inaczej reklamując swój towar, ale aby uzyskać odpowiednie rezultaty, aby zgłębić psychologję publiczności, najlepszym środkiem jest budowanie przyszłego gmachu od najskromniejszych, drobnych zarobków. Przyjście w dziurawych butach miljonerów amerykańskich do miasta nie tyle jest ważnem, co zetknięcie się ich z pierwszym penny, z którego w przyszłości powstały pierwsze dolary, a po tem setki ich i tysiące. Chociaż technika kupiectwa zmieniła się znacznie, to jej psychologiczne podwaliny pozostały te same: praca, wytrwałość i mądra reklama!

Jan Maleszewski.



PO ZABAWIE...

Po godzinach wesołej, beztroskiej swobody
mała Basieńka nóżki sobie zabrudziła —
srebrzysta piana mydła, smugi letniej wody —
i już uśmiech na twarzy i zabawa miła...

Gdzieś daleko za dniami skrytemi w przyszłości
niosące smutek i ból czeka życie...
Teraz jeszcze pod znakiem uroczej młodości
szczęście i radość daje nawet nóżek mycie...

WYZNAWCY JAZZU



Jack Hylton gra na helikonie...

Historja nowoczesnej muzyki tanecznej jest tematem zbyt obszernym, by go można było pomieścić w skromnych ramach jednego artykułu. Pisząc dziś o „wyznawcach jazzu", pragnę tylko podać w ogólnym zarysie drogi, po których kroczył on w triumfalnym pochodzie przez wszystkie cywilizowane kraje świata.

Docierając do źródeł muzyki jazzowej, wielu popełniło zasadniczy błąd, przysądzając ją bez reszty czarnej rasie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że murzyni pierwsi wykorzystali bogatą rytmikę tańców rytualnych i na niej oparli przejmującą melodykę swych pieśni. Ale stało się to dopiero wówczas, gdy afrykańscy protoplaści dzisiejszych mieszkańców Harlemu przesiedlili się na kontynent amerykański i tam zasmakowali w muzyce indjańskiej, którą wywodzą niektórzy aż do Inkasów, a która bezwątpienia stała się bogatem źródłem tematów do późniejszych pieśni ludowych różnych ras, wędrujących ongiś po rozległych terytorjach dzisiejszych Stanów Zjednoczonych.

Wymownym dowodem na powyższe twierdzenie jest fakt, że murzyni, mieszkający w Afryce nie wytworzyli po dziś dzień typu pieśni, którąby można choćby w przybliżeniu nazwać... muzyką. Z kolebki czarnej rasy nie wyszła dotąd żadna... melodja, a wszystko to, co zwykliśmy określać mianem pieśni czy piosenki ludowej, kręci się tam wkoło szeregu nieartykułowanych dźwięków, zrozumiałych raczej dla czworonożnych mieszkańców afrykańskiej dżungli, niż cywilizowanych ludzi. Ciekawe pod tym względem spostrzeżenia poczynił słynny pisarz francuski Paul Morand, który w jednym ze swych reportaży opowiada, iż murzyni w Afryce nie objawiają żadnego zainteresowania muzyką jazzową. Nawet ci wśród nich, którzy zetknęli się już z europejską kulturą, lgną raczej do rosyjskiej sentymentalnej pieśni (przy próbach demonstrowano „Burłaka z nad Wołgi"), niż do szarpiącej nerwy rytmiki utworów jazzowych. W ten sposób dochodzimy do wniosku, że tylko warunki, w jakich znalazła się czarna rasa na amerykańskim kontynencie, a przedewszystkiem oddziaływanie pieśni Indjan i innych napływających tam ras (malajskiej) spowodowały, że murzyni, uciskani przez kolonistów, zdobyli się na pewien muzyczny wyraz i stworzyli swą pieśń ludową, przepojoną tęsknotą i tragizmem. Ona następnie stała się źródłem nowoczesnej muzyki tanecznej.

Jak do tego doszło? — Podobnie, jak w każdej dziedzinie twórczości artystycznej, tak i na odcinku kompozycji tanecznej szukano „nowych dróg". I wtedy, gdy Europa przeżywała po raz nie wiem już który triumf walca, powrót kadryla, czy lansiera — Ameryka, kraj najnieprawdopodobniejszych możliwości, wprowadza na rynek taneczny... gigę, pierwszy murzyński step, od którego pochodziły późniejsze one-stepy i two-stepy, tańczone z zapałem przez tłumy na Broadwayu, a potem przez mieszkańców stolic europejskich.

Gigę tańczyli murzyni do swojej muzyki, która wtedy po raz pierwszy wkradła się do repertuaru ludzi białych. Wślad za nią ukazała się na horyzoncie orkiestra jazzowa, początkowo w bardzo prymitywnym składzie i oparta wyłącznie na indywidualnej interpretacji poszczególnych swych członków (3—4). Oblicze jej zmienia się szybko pod wpływem amerykańskich zespołów orkiestralnych, które zjawiają się jak grzyby po deszczu i naśladując styl murzyńskiego jazzu, przerabiają go na swój sposób. Wtedy po raz pierwszy zaczynają się ścierać dwa prądy w interpretacji orkiestralnej, jeden nazwany hot (gorący), ogniskujący w sobie wszystkie cechy gry murzynów, odbiegający często od wzoru nutowego, drugi strict (ścisły), uznający w pełni autorytet kompozytora i respektujący wyłącznie to, co on napisał.

Reprezentantami tego drugiego stylu w muzyce jazzowej byli rzecz prostą przedewszystkiem Amerykanie (Paul Whiteman), później Anglicy (Jack Hylton, Harry Roy), od których dopiero przejęły go orkiestry całej Europy.

Ale zanim zabłysły te prawdziwe gwiazdy wśród czynnych wyznawców jazzu, przez szereg długich lat błądzono w mrokach bezkrytycznego małpowania początkowego prymitywu murzyńskiego, w czem nawet Europa specjalnie celowała, sprowadzając na sceny wówczas na gwałt otwieranych music-hallów często takie zespoły, które już w swej ojczyźnie nie miały poprostu czego szukać. Trzeba tu jednak zaraz zaznaczyć, że my — Europejczycy potrafiliśmy stworzyć nasz odrębny styl, który potem w Anglji przybrał formę wręcz doskonałą, kopjowaną con amo-



Końcowa scena popisu słynnej ongiś orkiestry jazzowej Jacka Shea, przedstawiająca zespół, pokonany przez »Demona Jazzu« (ten oryginalny trick wykorzystała potem jedna z wytwórni sowieckich w filmie p. t. »Świat się śmieje«).



Jack Hylton (x) wita na dworcu Waterloo w Londynie swego znakomitego kolegę zza oceanu, Duke'a Ellingtona (siedzi pierwszy od lewej), słynnego kapelmistrza orkiestry jazzowej, który na czele swego zespołu przybył w ub. roku do stolicy Anglji.



Na prawo: Jack Payne, jeden z najsłynniejszych dyrygentów jazzowych.

re przez zespoły amerykańskich królów jazzu. Powstanie takiej formy na wyspach brytyjskich da się wytłumaczyć niezwykłym talentem, który jeśli o strict jazz chodzi, objawił się właśnie w rasie anglo-saskiej.

Nie ulega wątpliwości, że świetnym filtrem dla murzyńskiego hotu była konieczność dostosowania początkowych łamańców tanecznych do możliwości zwykłych śmiertelników, którzy za wszelką cenę chcieli tańczyć i przytem nie wyglądać śmiesznie. Powstały w ten sposób nowe formy tańców t. zw. salonowych, przerobionych z pierwszych prymitywów: giga, a później głośnego charlestona i te nadały też odpowiedni styl ilustracji muzycznej. Charleston był chyba ostatnim S. O. S murzyńskiego stylu w współczesnej nam muzyce tanecznej, która wpłynęła potem na spokojniejsze wody i dalszych dróg szukała już w symfonicznych formach jazzu. (Whiteman, Hylton).

Dziś na Olimpie czarodziejskiej sztuki, emocjonującej tłumy w dancingach całego świata, królują wprawdzie reprezentanci ras kolorowych. Ci jednak, że wymienimy tylko Duke Ellingtona (murzyna) i Caba Calloway'a (kwaterona), mają „w małym palcu" zarówno styl hot, jak i strict i posługują się obydwoma po mistrzowsku. Tylko że właśnie oni są może ostatnimi, niedościgłymi interpretatorami właściwego murzyńskiego jazzu, zarzuconego przez innych, dla których przeszedł on już do... historji.

Nie bez silnego wpływu na kształtowanie się form jazzu była działalność kompozytorska szeregu muzyków amerykańskich i angielskich. I tu znowu wypada zaznaczyć, że rasa anglo-saska wygrywa ten wyścig już nie o pół, lecz szereg długości, choć mimo wielu głosów, stwierdzających koniec jazzu, nie znajdujemy się jeszcze u mety. Dorobek kompozytorski takiego Georgea Gershwina, który sam jeden starczy za tysiące, lub jego kolegi Youmansa — to istna kopalnia tematów, opracowanych w tak oryginalny sposób, że wszystkie kopje, a przedewszystkiem europejskie muszą usunąć się na plan dalszy. Używam rozmyślnie określenia: kopje, ponieważ naśladownictwo form anglo-saskich prześladowało niemal wszystkich innych kompozytorów muzyki jazzowej, zanim znaleźli oni swój odrębny styl, w którym przejawiły się potem cechy narodowościowe. Te amerykańskie i angielskie kompozycje taneczne pobudziły instrumentalistów do wybudowania wspaniałych architektur orkiestralnych, umożliwiających królom jazzu estradowe występy.

Pisząc o jazzu trudno pominąć milczeniem i tych, którzy znaleźli dla niego artystyczną formę interpretacji tanecznej. I ona, rzecz prosta, pochodzi od murzynów, którzy pierwsi popisywali się stepem na estradzie i parkiecie dancingowym. Biali — ich uczniowie, przeszli nawet swych mistrzów, wkładając w swój taniec więcej cech, właściwych naszej rasie i przez to bardziej przez nas zrozumiałych. Ginger Rogers i Fred Astaire — para taneczna, uchodząca za wzór na całym świecie, wsławiona licznymi występami przed objektywem filmowym, jest tego może najlepszym przykładem. Technika stepu, na którym opierają oni niemal wszystkie swe ewolucje, graniczy już z ekwilibrystyką. Dzięki tej zupełnej płynności u podstawy, cała nadbudowa ruchów stanowi odrębną kompozycję, plastycznie oddającą przeżycia tancerzy. Eleanor Powell i jej pendant filmowe Buddy Ebsen, wkońcu Ruby Keeler, posługują się inną koncepcją w interpretacji rytmu jazzowego. U tych równie doskonałych tancerzy występuje na plan pierwszy troska o doskonałość samego stepu i z tem związaną różnorodność kroków. Bogactwo pomysłów musi tu każdego zafrapować. Tych kilka nazwisk nie wyczerpuje oczywiście całej listy tancerzy jazzowych.

Czy na nich kończą się szeregi wyznawców jazzu? Patrząc z wysokości estrady czy sceny, lub choćby na filmie z Srebrnego Ekranu, widzą oni niezliczone tłumy, emocjonujące się nietylko ich popisami, ale i muzyką, która je stworzyła.

To jest właśnie szara armja wyznawców czarodziejskiego rytmu.

Mgr. J. L.



Powyższe zdjęcie, pochodzące z filmu »Karioka«, przedstawia Ginger Rogers, stawiającą wówczas pierwsze kroki jako tancerka, oraz Gene Raymonda i Freda Astaire (gra na harmonji), który występował wtedy przedewszystkiem jako muzyk.



Na lewo: Słynny amerykański tancerz stepowy Buddy Ebsen.

Poniżej: Paul Whiteman na czele słynnej swej orkiestry w filmie p. t. »Król Jazzu«.



Poniżej w kole: Harry Roy i jego zespół po powrocie do Anglji z tournée artystycznego.



Gdyby ciocia miała kółka, byłaby...

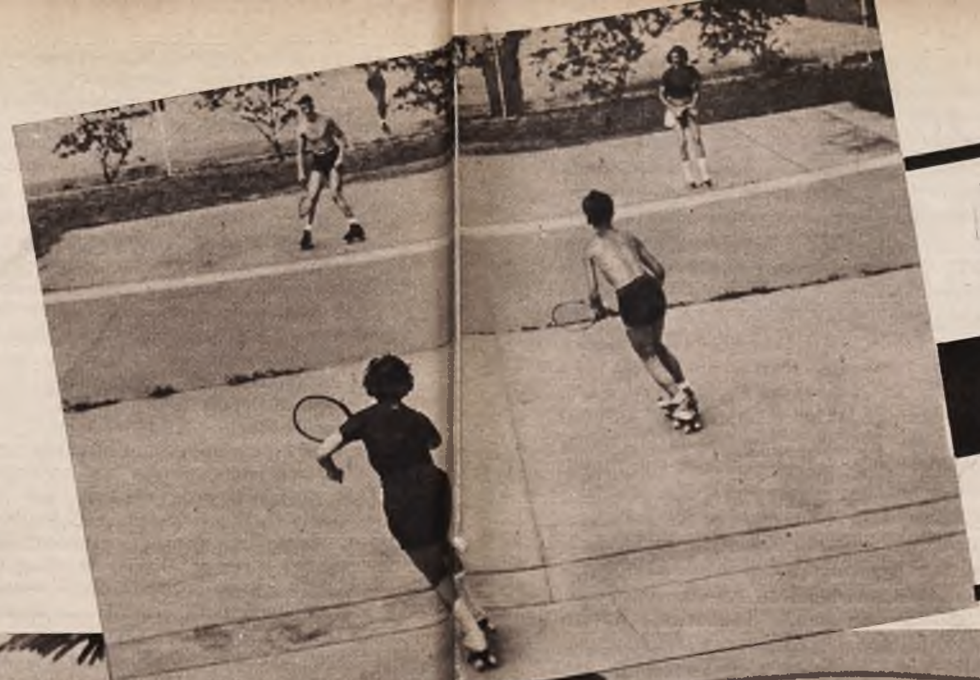
Gdyby ciocia miała kółka, byłaby... tramwajem! — mówimy dziś z pobłażaniem, gdy coś wydaje nam się niemożliwością. A czem byłaby babcia, zaopatrzona w kółka?... Ten problem wyjaśniają nasze ilustracje. Oto babcia na kółkach — to „sportówka“ z przed 70 lat. W ósmym dziesiątku zeszłego stulecia ludzie nie pasjonowali się nartami, które wymagają zimy i śniegu, lecz przez okrągły rok pędzili na kółkach, które były pierwowzorem dzisiejszych wrotek. Hermes, bożek starożytnych Greków, miał uskrzydlone nogi: nasze babki i nasi dziadkowie mieli nogi „uwrotkowąne“... Proszę się przyjrzeć, z jakim wdziękiem płyną ci dostojni ludzie z „dawnych, dobrych czasów“ na kółkach, które wynalazł dla nich dobry Amerykanin (zawsze ci Amerykanie!) Thomas Luden i nazwał je „pedespeed“ — bo istotnie nogi mogły dzięki temu wynalazkowi osiągnąć szybkość dużo większą. Ludzie pasjonowali się nowością, radzi, że poruszają się niemal tak szybko, jak kolej żelazna, piekielny wynalazek XIX-go wieku, „pędzący“ z szybkością aż — 40 km na godzinę... Potem wynalazek amerykański spowszedniał; wciąż ulepszanemi wrotkami zaczęły bawić się dzieci. I przez długie lata wrotki były „dziecinnym sportem“. Dopiero w ostatnich latach znowu oceniono ich wartość, zrozumiano, że można wykonywać na nich te same ewolucje, co na łyżwach — nie czekając przytem na zimę i na lód. Rzeszom miłośników sportu naszych dziadków patronują wirtuozi wrotek, popisujący się na arenach cyrkowych. Pamiętamy Chaplina, holendrującego na wrotkach w ostatnim swoim filmie „Nowe Czasy“: może i my osiągnęlibyśmy podobną doskonałość, gdybyśmy zakosztowali tego „sportu“, owianego romantyzmem i przeczącego przysłowiu o cioci, kółkach i tramwaju...



Obok: I wrotki stwarzają możliwości do efektownych ewolucyj...

Poniżej: Oto jak wyglądała jazda na »Pedespeed«, wynalazku Amerykanina T. Luden'a z r. 1876.









Na prawo: Pierwsze kroki na wrotkach przypominają analogiczne momenty u początkujących łyżwiarzy... (z E. Gaujean »Au Skating-Ring« Paryż 1875).

Na lewo: W Miami na Florydzie istnieją korty tenisowe, na których gracze poruszają się na wrotkach.

Poniżej: Nowoczesny tor wrotkowy w Frankfurcie n/Menem.



Na lewo: Ilustracja F. Kollarza z r. 1876, przedstawiająca wiedeński »Skating-Ring«.



Na prawo: Ilustracja Knuta Ekwalla z r. 1874, na której widzimy fragment berlińskiego toru wrotkowego z końca ubiegłego stulecia.



Jedna z tych starych, uroczych uliczek średniowiecznego Paryża, do których nie dociera gwar współczesnego życia.

Rue du Chat qui Pêche

Są takie uliczki w najstarszych dzielnicach Paryża, w tych, gdzie jeszcze z czasów rzymskiej Lutecji znajdują się wspomnienia, są takie wąskie, krzywe czy kręte uliczki, w których zapomina się, że się jest właśnie w Paryżu. Wprost nieprawdopodobne wydaje się, że taka uilczka szerokości kilku kroków, jakby wąwóz pomiędzy dwoma brzegami kilkupiętrowych kamienic, stanowi jedną z „arteryj" serca Europy, Paryża i że znajduje się ona niejednokrotnie tuż obok jakiegoś wielkiego bulwaru....

A właśnie tuż obok wielkiego, studenckiego bulwaru Świętego Michała, głównej arterji Dzielnicy Łacińskiej, znajduje się jedna z takich wąziutkich, malowniczych i niezwykłych uliczek. W dodatku nosi ona przedziwną nazwę: ulicy Kota, który łowi ryby... „Rue du Chat qui Pêche"...

Sama ta uliczka, a jeszcze w połączeniu z swą niesamowitą a bajkową zarazem nazwą, jest atrakcją dla turysty i otoczona jest ciepłą sympatją dzielnicy. Chociaż właściwie to wszystko, co w niej się dzieje i w jej najbliższej okolicy, jest raczej smutne, występne, czy złe...

Wyglądając wąskim wąwozem na Notre-Dame, wypływa uliczka ta ze splotu kilku starych, ciemnych i zaniedbanych ulic nadsekwańskich. Znajdują się przy nich brudne, małe hoteliki, małe restauracyjki, kawiarnie i bary, kolonja domów publicznych i mizerne kamieniczki zamieszkałe przez biedaków, wykolejeńców, studentów i emigrantów.

Po tych ulicach często musiał krążyć nasz wybitny pisarz Jan Wiktor, gdy w Paryżu zbierał materjały do swej epopei emigracji polskiej, która ukazała się jako powieść pod tytułem „Wierzby nad Sekwaną". I właśnie uliczkę Kota, który łowi ryby, wybrała za teren swej powieści emigracyjnej pisarka węgierska Jolán Földes, która w powieści pod tytułem „Ulica Kota Rybołówcy" dała węgierski odpowiednik naszych „Wierzb nad Sekwaną".

Znakomita powieść węgierska ukazała się niedawno w polskim przekładzie R. Sillei, wydana niezwykle estetycznie przez „Książnicę-Atlas", w przepięknej okładce K. M. Sopočki. Treścią tej powieści są przeżycia węgierskiej rodziny emigrantów w hoteliku i kamieniczce przy ulicy Kota Rybołówcy pośród całej kolonji emigrantów różnych narodowości.

Za powieść tę zyskała Jolán Földes nagrodę w wysokości 100.000 zł. na Międzynarodowym Konkursie Literackim w Londynie w ub. r. Młoda literatka węgierska studjowała w Paryżu i mieszkała w podrzędnym hoteliku właśnie przy ulicy, którą obrała za tło i teren akcji swej powieści. Tam poznała życie emigrantów, studjowała je sercem, podobnie jak autor „Wierzb nad Sekwaną". Ona jednak — jako Węgierka — zwróciła uwagę przedewszystkiem na emigrantów węgierskich, Jan Wiktor oczywiście na polskich.

Chociaż różnice pomiędzy obiema temi powieściami są tak znaczne, trudno jednak nie porównywać obu tych epopei nieszczęścia. Przy lekturze „Ulicy Kota Rybołówcy" ustawicznie myśli się o „Wierzbach nad Sekwaną". Tu i tam przebija się w duszach bohaterów tasama nostalgja za krajem, tu i tam wykoleja obce środowisko, hartuje a zarazem osłabia. Tu i tam nędza i występek ustawicznie otaczają, kuszą, nakłaniają — a tragedje życia codziennego wyolbrzymiają się ustawicznie, jakby wszystek ból zawziął się najwięcej właśnie na gromadę wychodźców. Wiktor daje w swej powieści środowisko niższe, Földes nieco wyższe — ale tu i tam zgodnie biją tesame akordy, mówiące, że emigracja czy dla zarobku, czy dobrowolna, czy przymusowa jest nieszczęściem.

Jan Wiktor zwrócił swą uwagę w „Wierzbach" głównie na prądy i tendencje nurtujące wykolejeńców polskich we Francji, Jolán Földes zaś wybrała inną koncepcję. Postawiwszy rodzinę swych węgierskich bohaterów jako oś powieści, kazała dokoła niej kręcić się barwnej i zmiennej kolejności coraz to nowych typów, coraz to nowych ludzi, wyrzucanych na bruk Paryża z różnych krajów świata przez rewolucje, wstrząsy, występki indywidualne czy zbrodnie polityczne i masowe. W ten sposób historja ostatnich lat 15 w ogromnych skrótach przewija się w tych postaciach z hoteliku czy baru przy ulicy Kota Rybołówcy — a każda z tych postaci wlecze za sobą poza swem nieszczęściem osobistem, jeszcze smugę tragedji swej ojczyzny, czy też bankructwo jakiejś wielkiej idei, która padła pod terorem losu.

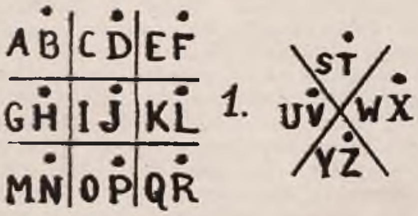
Widuje się w Paryżu bardzo wielu takich cudzoziemskich turystów, którzy przyjeżdżają tu tylko poto, by powiedzieć, że „byli w Paryżu". Ci jednak, którzy będąc w Paryżu naprawdę chcą to przedziwne miasto poznać, odczuć, zrozumieć, powinni przed udaniem się do Quartier Latin przeczytać „Wierzby nad Sekwaną" i „Ulicę Kota Rybołówcy". W tych bowiem powieściach odmalowane jest z wnikliwą prawdą właściwe tło i istotna treść bardzo wielu domów i lokali, które turysta pominie obojętnie nie wiedząc, że są one żywą historją niezliczonej ilości wychodźców z całego świata, rezerwoarem ich tęsknot i występków. Zrozumieją wtedy obojętni przechodnie bijący podskórny puls uliczki Kota, który łowi ryby, zrozumieją, co kryje mały, wykrzywiony i obdarty hotelik, jaką treścią tętni zwykła z pozoru restauracja.

We wszystkich większych ośrodkach Europy w różnych latach zlewały się fale emigracji politycznej i zarobkowej, dobrowolnej i przymusowej, ale Paryż zawsze był Mekką uchodźctwa i wychodźctwa. Mimo zmieniających się tam nastrojów społecznych i politycznych, zawsze słowo „Liberté", najpiękniejsze, jakie posiada mowa człowiecza, widniało tam nie tylko niemo jako symbol i hasło na wszystkich rządowych budynkach, ale faktycznie było i jest najszlachetniejszem godłem realizowanem w życiu. Stąd też do Paryża wiodą wszystkie drogi nieszczęścia i rozpaczy, nadziei i grzechu, zapomnienia i tęsknoty. Młoda powieściopisarka węgierska — dziś mająca 32 lata — odczuła ten rytm życia w małej dzielnicy emigranckiej stolicy świata i odczuła go nieskażenie i wzruszająco w swej przedziwnej powieści.

Dobrze, że powieść ta została przyswojona literaturze polskiej — tem lepiej, że literatura nasza taką pozycję posiadała już przedtem w „Wierzbach nad Sekwaną".

Witold Zechenter.

TAJEMNA MOWA SZYFRU



1.

Średniowieczny alfabet szyfrowy.



Na prawo: Scotland Yard posiada nadawczą stację dla swych szyfrowanych depesz radjowych.

Historja szyfru jest niemal tak stara, jak historja ludzkości. We wszelkich epokach, na wszystkich szerokościach geograficznych, istnieli ludzie, którym musiało zależeć na tajności ich korespondencji, na zręcznem zamaskowaniu ich niebezpiecznych tajemnic. Byt i potęga każdego państwa wspiera się, niby na podziemnych korzeniach, na subtelnych i przemyślnych arkanach służby wywiadu i kontrwywiadu, pracującej z konieczności pod nieprzeniknioną zasłoną zawiłych szyfrów, gwarantujących bezwzględną tajemnicę.

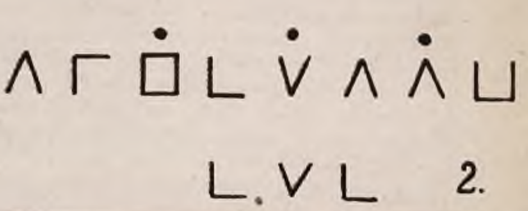
Ludzie prywatni, tak w interesach jak i sprawach rodzinnych zmuszeni są niejednokrotnie osłaniać się również tajemnicą szyfru. Do znaków tajemnych sięgają także zbrodniarze, szantażyści i spekulanci, chroniąc w ten sposób swoje ciemne sprawy przed czujnem okiem policji. Cała fantazja i pomysłowość ludzka wysila się od wieków, aby wynajdywać coraz to zawilsze i misterniejsze systemy szyfrowania, a jednocześnie szeregi specjalnie uzdolnionych agentów pracują bez wytchnienia nad ich demaskowaniem, nad znalezieniem do nich właściwego klucza. W służbie wywiadu każdego państwa zatrudniani bywają specjaliści, dla których nie istnieje szyfr nie do odcyfrowania, toteż państwa sąsiednie muszą się liczyć z ich przenikliwością i ustawicznie zmieniać swoje szyfry. Zapotrzebowanie na nie jest też ogromne, tak, że państwa zmuszone są nieraz udawać się o współpracę do najwybitniejszych swych matematyków i uczonych, którzy częstokroć oddają w ten sposób ojczyźnie nieocenione usługi.

Cała ta tajemnicza i zawiła dziedzina tajnych sposobów porozumiewania się, stanowi dla laika teren niezwykle atrakcyjny, obfitujący w sensacyjne szczegóły i emocjonujące zagadki. Toteż pobieżne choćby zapoznanie się z zasadami szyfru i jego historją przedstawiać może dla wielu czytelników interesującą rozrywkę umysłową, daleko ciekawszą od tak lubianych zresztą krzyżyków. Nie trzeba przytem zapominać, że zachowane szyfrowane dokumenty z dawnych epok stanowią dla dzisiejszych badaczy nieprzebrane skarby wiadomości, stokroć ważniejszych i prawdziwszych od pisanych kronik i relacyj oficjalnej historji, której wyniki częstokroć gruntownie obalają. Ileż zagadek historji wyjaśniło się po wielu latach dzięki odnalezieniu, a przedewszystkiem odcyfrowaniu tajnych dokumentów, pisanych pismem tajemnem! Mimo dużej ilości specjalistów w odczytywaniu najtrudniejszych szyfrów, istnieje dziś jeszcze w archiwach szereg dokumentów niezrozumiałych, do których nie udało się do tej pory znaleźć właściwego klucza.

Jeśli zdamy sobie sprawę, w jakich okolicznościach powstaje tajny „code" i jak trudny jest on do sporządzenia, zrozumiemy, dlaczego stanowi tak bardzo upragnioną zdobycz dla szpiegów ościennych państw, dlaczego tylu z nich naraża życie dla ich zdobycia. Zmiana szyfru pociąga za sobą ogromne koszta i wymaga dużo pracy i czasu. Poważne trudności przedstawia dobranie ludzi dostatecznie pewnych, którymby można powierzyć tak bardzo odpowiedzialną robotę. Po ułożeniu właściwego „code'u", w którym pewne słowa i zdania zastępowane są literami lub cyframi, przystępuje się do jego drukowania. Im „code" jest tajniejszy i służyć ma wyłącznie do bardzo ważnych raportów i korespondencyj, tem mniej sporządza się jego egzemplarzy. Jeden drukarz drukuje tylko parę stron danego „code'u", reszta pozostaje mu nieznaną. Po złożeniu czcionek, kto inny robi korekty, a kto inny odbija dalsze egzemplarze. Tylko najbardziej wypróbowanym ludziom powierza się oprawianie „code'ów"; w okładki wprawia się masywne płyty ołowiane, aby książkę uczynić cięższą i przez to trudną do ukrycia. Zasadniczy „code" może służyć dość długi czas, zmieniają się tylko ustawicznie metody posługiwania się nim. Jeśli np. zdania są zastępowane cyframi, mnoży się naprzykład cyfry parzyste przez 2, nieparzyste przez 3. Taki klucz co parę tygodni zastępuje się nowym w obawie, aby nie wpadł w ręce nieprzyjaciela. Wymaga to niewyczerpanej wprost pomysłowości.

Rozejrzyjmy się w zasadniczych typach szyfrów, oczywiście najprosszych, stanowiących niejako elementarz tej zawiłej „wiedzy tajemnej".

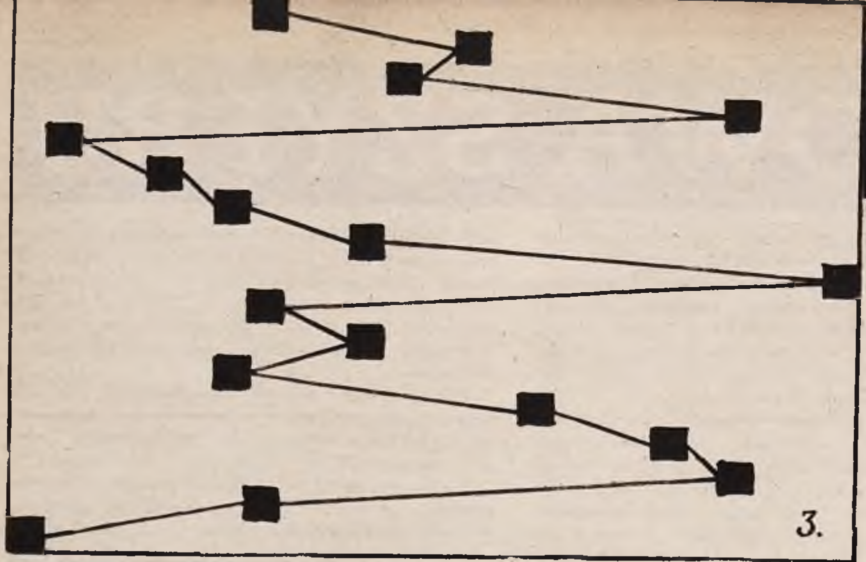
Jeden z nich, sięgający jeszcze średniowiecza, polegał na rozmieszczaniu alfabetu w odpowiednich kratkach (fig. 1), co dawało następujące znaki: A — ⌟ B — ⌟̇ C — ⊔ itd. Tym szyfrem posługując się, damy czytelnikom do rozwiązania następujący „tajny" tekst: (fig. 2)


2.

Zadanie, ułożone szyfrem, podanym na ilustracji nr. 1.

Szyfr zygzakowy polega na tem, że u góry kratkowanego papieru wypisuje się wszystkie litery alfabetu, poniżej zaś w każdej linji znaczy się punktem kratkę, odpowiadającą danej literze, poczem wszystkie punkty łączy się linjami, tworzącemi zawiłe i na pierwszy rzut oka niewinne zygzaki. Oto tajny raport, sporządzony zapomocą tego szyfru. Dla odczytania go wystarczy wiedzieć, że kolejność alfabetu zaczyna się od jednej z liter zawartych w słowie „As" (fig. 3).

Innym typem szyfru, jest szyfr polegający na transpozycjach. Jeśli chcąc napisać słowo WOJNA, zastąpimy każdą ze składających się na nie liter, literą następną w po-



3.

Na lewo: Raport, napisany szyfrem zygzakowym.

Poniżej: Dwa kwadraty z szyfrem cyfrowym.

rządku alfabetycznym, otrzymamy szyfrowany znak XPLOB, względnie — transponując litery w odwrotnym porządku alfabetycznym — UNIMZ. Warjanty tego rodzaju szyfru mogą być rozmaite.

Szyfrem literowym, do którego klucz wyraża się w cyfrach, jest następujący raport, który swego czasu odegrał poważną rolę:

ZESJF BBYSU BPCMM ZFY.

Jeśli wiemy, że kluczem do tego szyfru jest cyfra 18243, rozwiązanie staje się łatwe:

ZESJF	BRYSU	BPCMM	ZFY
1 8 2 4 3	1 8 2 4 3	1 8 2 4 3	1 8 2
AMUNI	CJAWY	CZERP	ANA

4. ⟶

O	S	I	E	M
T	R	Z	Y	D
W	A	B	C	F
G	H	J	K	L
Ł	N	P	U	X

A	F	K	O	U
B	G	L	P	W
C	H	Ł	R	X
D	I	M	S	Y
E	J	N	T	Z

Krótki ten tekst odegrał pierwszorzędną rolę w przebiegu wojny z Hugenotami króla Francji Ludwika XIII. W 1626 r. Kondeusz oblegał przez dłuższy czas bezskutecznie langwedocką twierdzę Hugenotów, Réalmont. Zniechęcony, już zdecydował się nazajutrz rano odstąpić od oblężenia, gdy przy jednym z jeńców przyłapano jakąś kartkę z szyfrowanem pismem. Napróżno sztab Kondeusza usiłował odcyfrować ów tajny szyfr, udało się to wkońcu nieznanemu dotąd Antoniemu Rossignol. Kondeusz nakazał odesłać pojmanego jeńca do Réalmont, wręczając mu spowrotem owe pismo, ale zaopatrzone odszyfrowanym tekstem. Tego samego wieczoru Réalmont się poddało, a Rossignol został mianowany szefem biura szyfrów królewskich, gdzie tak Ludwikowi XIII jak i jego następcy Ludwikowi XIV oddał nieocenione usługi, dzięki wyjątkowej umiejętności odszyfrowania najbardziej skomplikowanych szyfrów.

Umiejętność tę w wysokim stopniu posiadał również zmarły niedawno we Francji major Bazeries z drugiego oddziału sztabu francuskiego. Jemu to udało się po tylu wiekach odszyfrować tajne zlecenie ministra Ludwika XIV Louvois, zawierające rozkaz aresztowania tajemniczej osobistości zwanej Żelazną Maską. Zlecenie to zachowane było w archiwach tajnych w Paryżu, ale najlepsi specjaliści nie byli wstanie go odczytać, dzięki czemu wokół osoby tajemniczego więźnia powstało cały szereg domysłów i najfantastyczniejszych legend. Człowiek ten, więziony długie lata w twierdzy Pignerol, stanowił zagadkę nawet dla swych strażników. Z rozkazu króla nosił stale maskę z aksamitu i żelaza i nikt nigdy nie widział jego oblicza. Domyślano się w nim osoby Fouqueta, jakiegoś nieślubnego brata królewskiego, kochanka królowej lub też dygnitarza kościelnego, który ośmielił się wmieszać niebacznie w stosunki króla i jego faworyty pani de Montespan. Dopiero przed kilku laty Żelazna Maska wydała swą tajemnicę. Według Bazeries ukrywał się pod nią generał de Bulonde, ukarany tak okrutnie przez króla za niesubordynację, w związku z samowolnem odstąpieniem od oblężenia Coni. Zdemaskowanie tajemniczego więźnia kosztowało majora Bazeries pięć lat wytężonej pracy. Przy okazji przytoczmy doskonale pomyślany system szyfrowania, który sztab francuski zawdzięczał również pomysłowości tegoż majora Bazeries. Polega on na tem, że przyjmuje się za klucz jakąś liczbę trójcyfrową, np. 832. Poszczególne składające się na nią cyfry wypisuje się słownie: osiem, trzy, dwa. Następnie w jeden kwadrat wpisuje się alfabet w takim porządku, że najprzód idą — w kierunku horyzontalnym — wszystkie litery wchodzące w skład owych cyfr, potem zaś reszta liter alfabetu. Jeśli obok wpiszemy w drugi kwadrat litery alfabetu w kierunku pionowym w ich normalnym porządku, szyfrowanie przez transpozycję literową staje się zupełnie łatwe: np. zamiast litery D wypada litera G, zamiast A — O itd. (Fig. 4).

Znając metodę i podany przez nas klucz, czytelnicy bez trudu odszyfrują następujący tekst:

OKN ŁKU OKŁ JYE ZKI HWA ULR EGP HIE D.

Zaznaczmy, że ten system szyfrowania podany tu został w uproszczeniu i niejako w skrócie, gdyż w rzeczywistości jest on daleko bardziej skomplikowany.

Współcześni specjaliści od szyfru oddają nieocenione usługi badaniom historycznym. Całe sztaby ich pracują nad odszyfrowywaniem rozmaitych dokumentów państwowych, tajnych korespondencyj i innych tekstów, o kapitalnem nieraz znaczeniu. Szczególnie dużo szyfrowanych dokumentów posiadają archiwa Watykanu, Florencji, Wenecji i stolic mocarstw europejskich, które zwolna wydają swe ponure nieraz, a zawsze sensacyjne, długo zazdrośnie strzeżone tajemnice. Często przypadek naprowadza na fantastyczne odkrycia. Przed kilku laty, jeden z najzdolniejszych specjalistów sztabu angielskiego płk. Fabyan, zwiedzając rodzinne miasto Shakespeare'a, Stradford on Avon, zwrócił uwagę na dziwny, banalnej zresztą zupełnie treści napis, wyryty na płycie nagrobnej wielkiego poety w miejscowym kościele. Przyszło mu na myśl rozpatrzeć tekst tego napisu tak, jakby miał przed sobą tekst szyfrowany. I oto udało mu się wyczytać w nim stwierdzenie, że pewne ustępy z dzieł Shakespeare'a, stanowią teksty szyfrowane, zawierające tajny testament Francisa Bacona, współczesnego Shakespearowi męża stanu i filozofa.

Pułkownik Fabyan nie pożałował trudu i oddał się z zapałem żmudnym badaniom tekstów Shakespeare'a. Po kilku miesiącach trudu udało mu się wyczytać w nich tekst tajnego testamentu Bacona, w którem ten ostatni stwierdza, że w rzeczywistości nazywał się Tudor, jako nieślubny syn królowej Elżbiety — i hrabiego Roberta Leicester, zmuszony był ukrywać swe pochodzenie i wskutek tego literackie swe dzieła pisał pod przybranemi nazwiskami Peele, Spencer i Shakespeare. Jeśli zważymy, że wielokrotnie już istnienie osoby Shakespeare'a podawane było w wątpliwość, odkrycie pułkownika Fabyana nie wyda nam się pozbawione znaczenia historycznego.

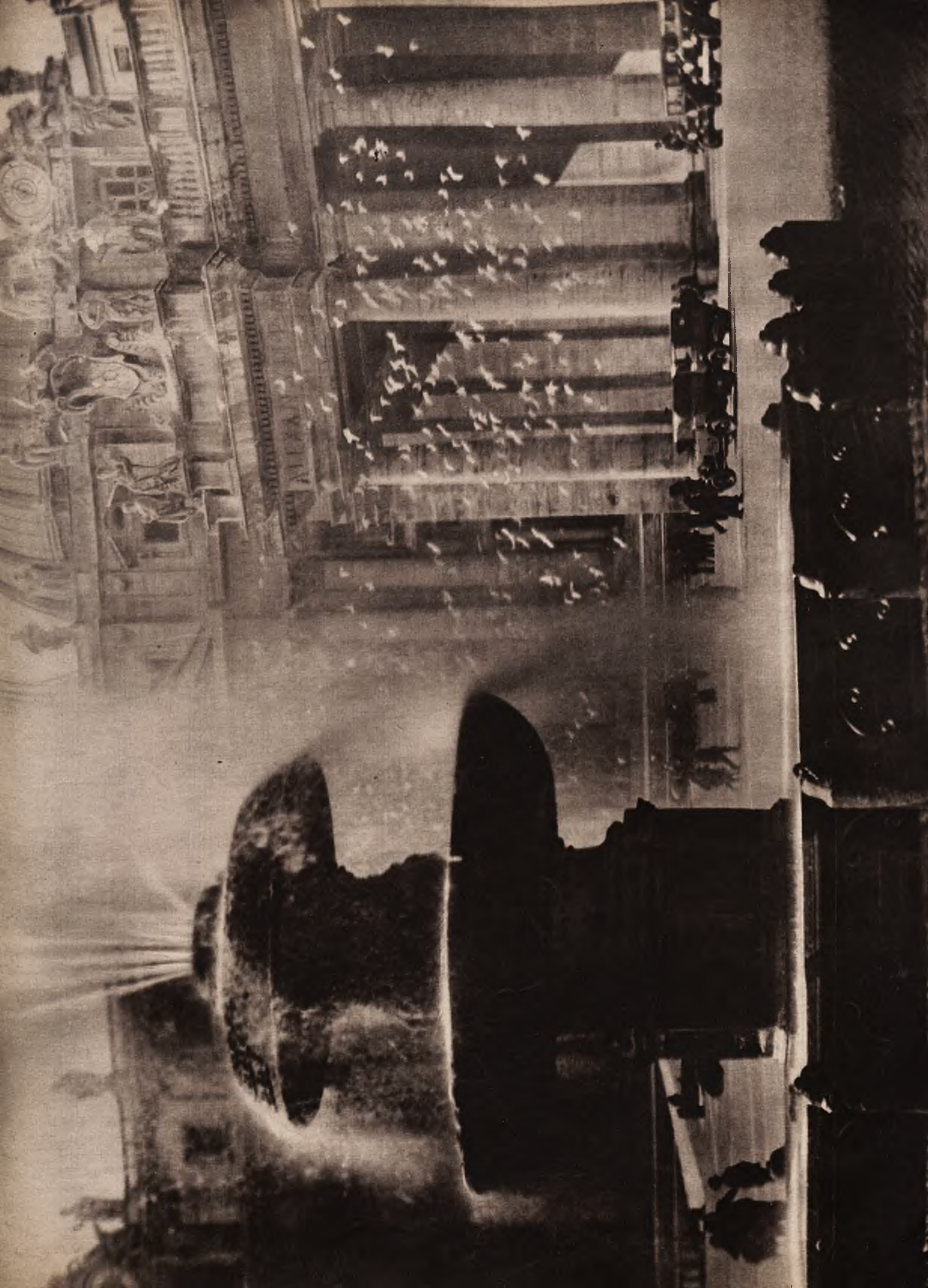
Prócz właściwych „code'ów" i tajnych szyfrów, posługiwano się częstokroć umownym językiem, w którym nazwy osób zastępowano nazwami kwiatów lub zwierząt, względnie t. zw. sympatycznemi atramentami, które stawały się widoczne dopiero po poddaniu ich specjalnym procesom chemicznym. Kryptografja znaną była już w starożytnej Grecji pod nazwą „skutale", odegrała dużą rolę w Rzymie cezarów, a najsilniejszy jej rozwój przypada na okres późnego średniowiecza i renesansu, gdzie szczególnie w republice weneckiej osiągnęła wyżyny prawdziwego mistrzostwa. W dwudziestym wieku w czasie wielkiej wojny światowej przekonano się, że znajomość jej stanowi broń równie ważną, jak potężna i karna armja, toteż wszystkie państwa prześcigają się dziś w szkoleniu sztabów wybitnych specjalistów, których zadaniem jest staranne maskowanie tajemnic państwowych, a jednocześnie wytrącanie tej skutecznej broni z ręki przeciwnika. Dzisiejsze tajne wywiady posługują się coraz to nowemi ulepszonemi metodami szyfru, pod którego osłoną wiążą się i splatają najsubtelniejsze nici polityki międzynarodowej.

E. M.

W ilustracjach nr. 2, 3 i 4 dajemy naszym Czytelnikom trzy zadania, które będą mogli rozwiązać na podstawie wzorów podanych w artykule. Trafne rozwiązania, przesłane przez Czytelników Redakcji „Asa" będą podane w jednym z najbliższych numerów.

POGOŃ ZA SŁOŃCEM...

Stada gołębi na placu św. Piotra w Rzymie.
Fot. Schostal.

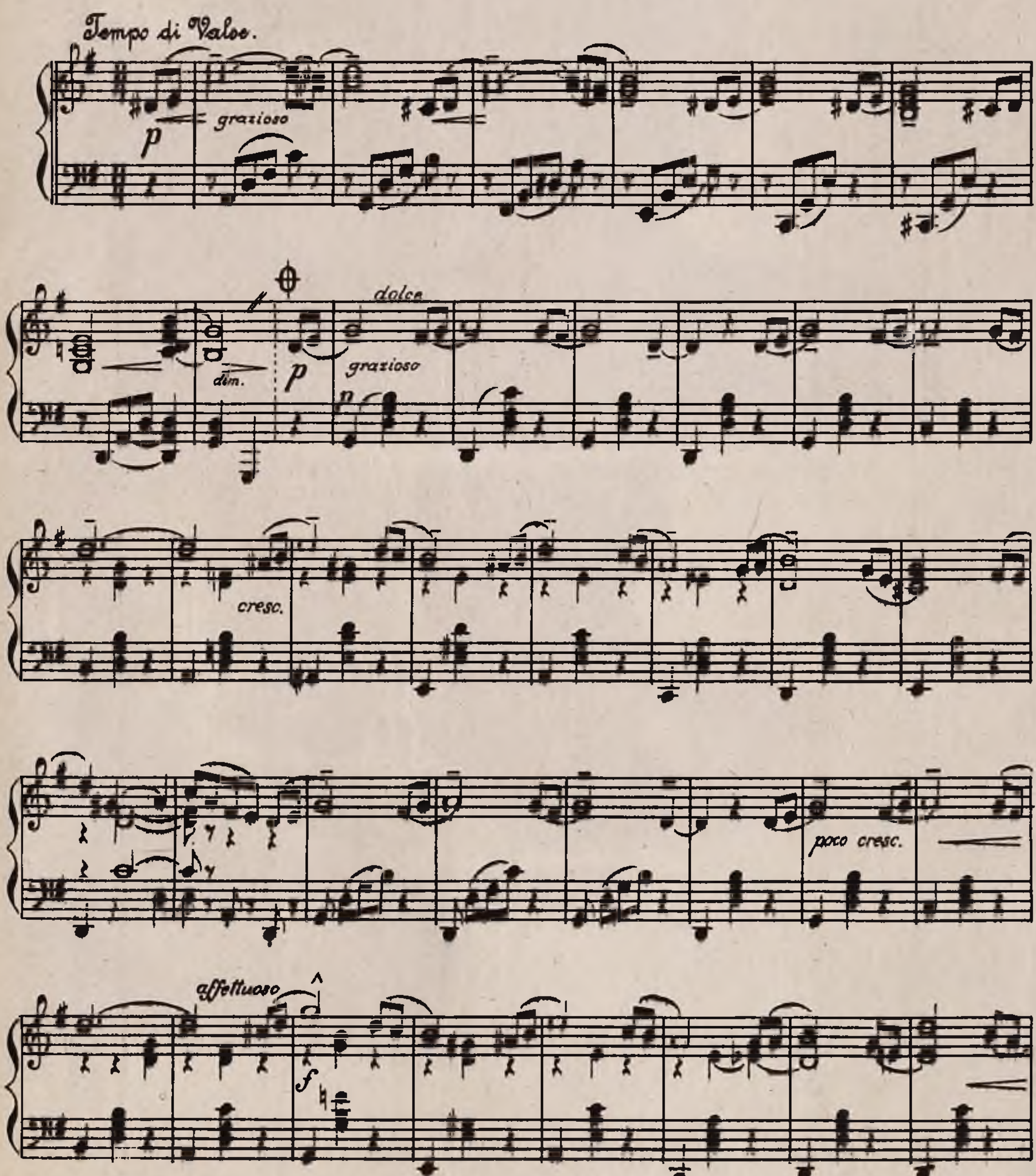


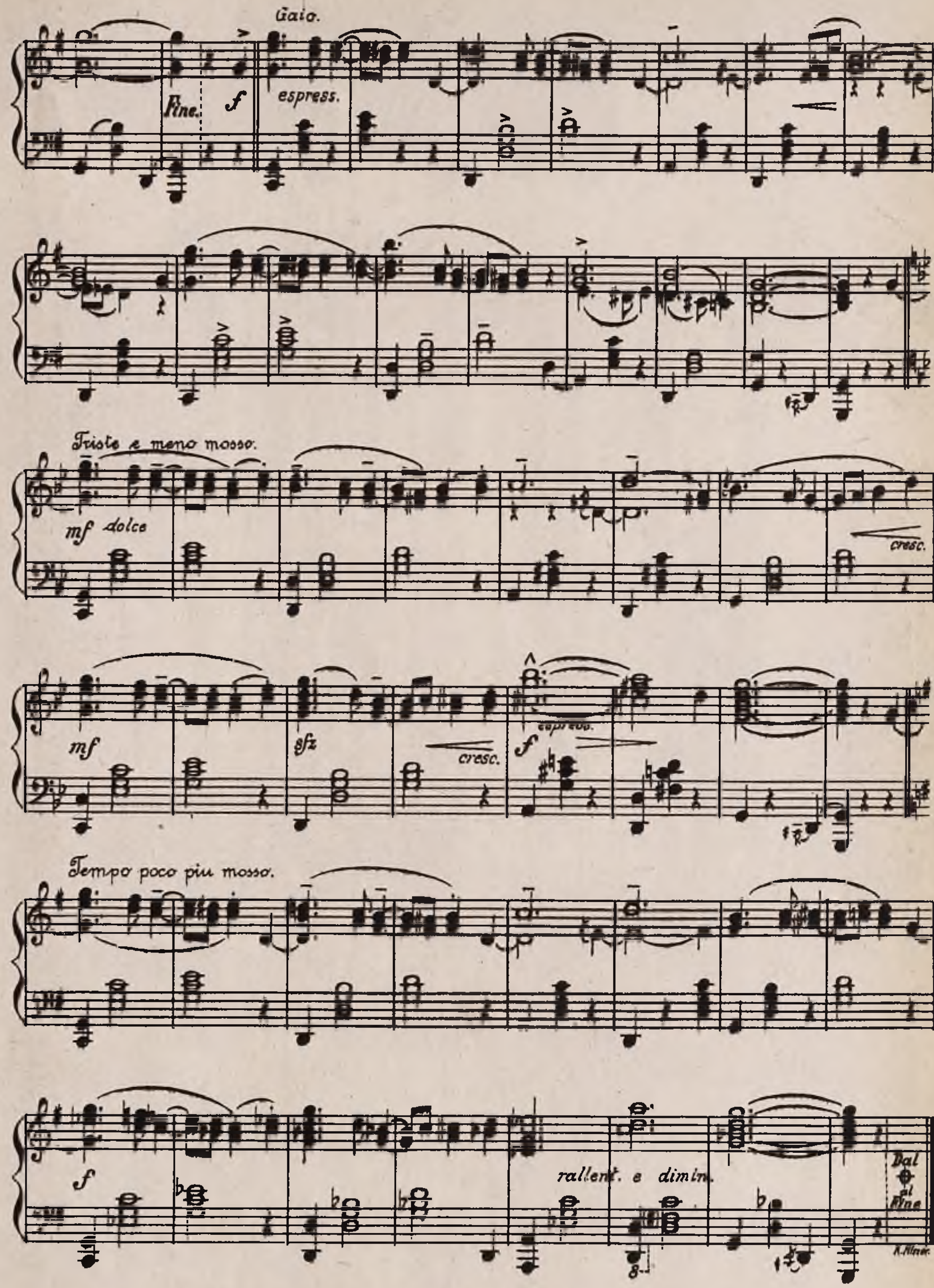
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

O ZMROKU...

VALSE LENTE

STANISŁAW LIPSKI (1936)







SZALONY KAPITAN

TUHAY BEY — **NOWELA** — **Ilustr. T. KOROTKIEWICZ**

Jeszcze wczoraj widać było zarys słońca w postaci wątłego kręgu, zawieszonego gdzieś w niezmierzonej dali. Żółta tarcza, wciąż zasnuwana welonami szarych płacht, coraz gęstszych i gęstszych, napędzanych z północy wiatrem, bijącym zapamiętale o kształt ziemi i morza płaszczyzny, raz poraz ginęła, lecz pojawiała się znowu. W nocy wiatr ustał zupełnie — wycofał się z nierównej walki. Pułap mgły, pochylony nisko, położył się miękką, duszącą piersią na wodach. Wypełnił pustą między niebem a morzem przestrzeń i stał się kurtyną, odgraniczającą świat realny od tego, co w górze pozostało bezkształtną mgławicą. I jeno widać było mgielne olbrzymy, wysokie a proste ściany białości, od wodnych idące bezmiarów ku ziemi nierównej.

Rozdarte u dołu przez maszty stojących na redzie statków, przez nagie szkielety kranów i mury portowych składnic, tworzyły długie i szare pasma. Wszystko zmieniło się w bezkształt i bezruch wypełniony mokrą gęstością nieprzeniknionej bieli. Nie było wrażeń, nie było ziemi ni morskich roztoczy — pozostał jeno dźwięk głuchy syreny portowej. Raz po raz przeciągły odgłos tuby na dalsze rozbijał się dźwięki: to krzykiem syren dawały znać o sobie zgubione na morzu istnienia.

Źle zostać w czas taki na morzu, źle znaleźć się w bliskości przystani — zatulona w mgłę siwa śmierć mokre wyciąga łapy po życie.

Na wysuniętym w morze cyplu mola, wyjrzała nagle upiorna twarz człowieka. Ukazała się na chwilę i znów się zanurzyła w oceanie mgły.

Człapiąc powłóczyście nogami po mokrym betonie, człowiek ten powoli sunął naprzód, jednocześnie zbierając porzucone a rozmokłe niedopałki papierosów. Strzępy łachmanów i długa, niegdyś czarna broda, były od brudu i pyłów portowych prawie tak siwe, jak mgliste opary. Z podziwu godną starannością rozdzierał każdy znaleziony niedopałek, poczem zdobyty tym sposobem tytoń wkładał do obszernej kieszeni, dawnego marynarskiego płaszcza. Gdy wreszcie stanął na samym końcu kamiennego mola, podniósł zwrócone przedtem ku ziemi, wyblakłe oczy i utkwił je w zwartą ścianę mgieł, jakgdyby ją przebić pragnął i ujrzeć poza nią rozgrywającą się walkę życia z groźnym żywiołem.

Stał tak bez ruchu przez długą chwilę i nagle, jakby coś sobie przypomniał, sięgnął zsiniałą ręką za pazuchę płaszcza, skąd wydobył pomięty szmat wyniszczonej mapy oceanów. Rozłożył ją i wygładził, jak mógł najdokładniej, wziął w zgrabiałe palce coś w rodzaju cyrkla, wbił go w pewnym punkcie mapy i znów znieruchomiał, jak posąg kamienny, zapatrzony w jeden punkt mapy.

Cisza panowała absolutna i tylko w jednostajnych odstępach czasu przerywał ją ryk syreny portowej. Odgłosy wrącej w porcie pracy, tłumione duszącą wilgocią, nie dochodziły tu zupełnie. Chwilami tylko, na odgłos rozbitej o molo większej fali, nieznajomy budził się z odrętwienia i wtedy można było zauważyć dziwne błyski w zgasłych oczach i palący żar na policzkach.

W pewnym momencie, gdzieś bardzo blisko, zaryczała syrena okrętowa, a jednocześnie uderzyła o molo potężna fala i rozbiła się, tuż za nią druga i trzecia...

Na odgłos ten, pochylony nad mapą człowiek zerwał się, jakby dotknięty palącym żarem. Wypuścił trzymany w palcach cyrkiel, który upadłszy na zimny beton mola, wydał z siebie głuchy, jakby skarżący się jęk. Ryk syreny powtórzył się, lecz krótki, urywany.

— Na miejsca! — ryknął nagle potężnym, przeraźliwym głosem i jednocześnie wyciągnął ramiona w stronę, skąd przed chwilą doleciał go głos syreny.

— Na miejsca! — powtórzył. — Ściągnąć żagle, ster w prawo... do stutysięcy piorunów!...

Krzyczał z całych sił zachrypniętym i dziwnie charczącym głosem. Na ustach jego wystąpiła piana, a oczy nabiegły krwią. Zrzucił z ramion ciążący mu płaszcz i stanął w podartej na piersiach i ramionach koszuli.

— Na prawą burtę! — razkazywał w dalszym ciągu, uderzając o kamień nogami — statek idzie w lewo... zrąbać maszt... Na miejsca, psiakrew, na miejsca psy kudłate! Słyszycie! na miejsca! do stutysięcy piorunów... Kwas, kwas, kwas płynie... Butle do morza! do pioruna butle.. woda... do pomp ślepe psy, do stutysięcy piorunów, pompy w ruch... woda... woda zalewa... woda.. szalupy... ślepce... szalupy..

Darł na sobie resztki koszuli i z obłąkańczym krzykiem: „ślepce, szalupy" — popędził przed siebie wśród tumanów mgły, jak upiorne widmo dantejskie.

Wypadł z mola na brzeg twardy, gdzie stała niewielka grupka rybaków.

— Szalony Kapitan! — przebiegł szmer po stojących.

— Do łodzi, na ratunek — charczał przez zaschnięte gardło. — Połowa załogi ślepa, reszta spalona... woda... szalupy ślepce... ślepce... toną... ratować...

Dopadł pierwszej z brzegu łodzi rybackiej, zerwał siłą swych mięśni przytrzymujący ją sznur i silnym pchnięciem wioseł odbił od brzegu. Nim który z zdumionych rybaków słowo rzec zdołał, on przepadł w oparach mgły.

Kilku młodszych rybaków podbiegło do swych łodzi, by puścić się w pogoń za uciekinierem, lecz starsi ich powstrzymali:

— Szkoda fatygi... sam powróci.

— — — — — — — — — — —

W marcu roku 19... rosyjski statek „Małkin" pod dowództwem kapitana Worłochowa przewoził z Antwerpji do Tallina sto trzydzieści butli z kwasem siarczanym — siedmnaście tonn żrącego płynu. W myśl obowiązujących przepisów nie złożono groźnego ładunku w wewnętrznych składnicach statku. Butle kwasu, opakowane słomą i wikliną, odbywały podróż w ażurowych koszach żelaznych, umocowanych na powierzchni tylnego pokładu, pod którym mieściły się kajuty załogi.

W trzecim dniu podróży, gdzieś pod wieczór, zerwał się wiatr i rozkołysał morze, jednak nie groźnie. Po pracowitym dniu załoga, poza sternikiem i oficerem wachtowym, rychło udała się na spoczynek. Jedynie w kabinie kapitana przez półotwarty nawiewnik długo jeszcze błyskało światło.

Z postępem nocy wiatr przybierał na sile i „Małkin" coraz bardziej się kołysał, kładąc się na jeden to na drugi bok, już to wspinał się ku górze, by w następnej chwili znowu spaść na dół, na miękką falę.

Kapitan zaniepokojony wyjrzał na pokład. Nie widząc jednak narazie żadnego niebezpieczeństwa w piętrzących się falach, sam udał się także na spoczynek.

Zbudził go wściekły, palący ogniem ból. Porwał się z posłania i zapalił światło, przyczem spojrzenie jego padło na stół, na ceratę. W jednej chwili zorjentował się w sytuacji. Pryski tłustych, okapujących od sufitu kropel przedziwnie na stole parowały i dymiły. Żółte pod niemi plamy, jakby zardzewiały. W okamgnieniu przeżerały nawylot ceratę.

— Kwas — warknął przez zaciśnięte zęby i w tej chwili zapomniał o palącym bólu.

Wielka kropla znów oderwała się od sufitu i spadła na posłanie, wypalając rdzawą dziurę w miejscu, gdzie przed chwilą spoczywała głowa kapitana. W tym samym momencie, gdzieś za ścianą rozległy się okrzyki wachtowego oficera.

Kapitan rzucił się ku drzwiom. Zacięły się... nie dały się otworzyć. Z boku, z poza ścian, gdzie spała załoga, jakby z głębi piekła dochodził daleki hałas i duszny jazgot. Kilka głosów wyło najwyraźniej z bólu. W przeciągłej nucie tonęły wrzaski, a nad niemi górowało kilka okrzyków w rozpaczliwem zawodzeniu.

— Jezus Marja... Pomocy... Oczy! moje oczy...

Kapitan z całej siły pchnął ramieniem drzwi i wypadł na pokład rufowy. Przez zasłonięte dłonie spojrzał przed siebie.

Wściekła fala już teraz nietylko kołysała, ale rzucała statkiem na wszystkie strony. Rozluźnione butle z kwasem, w gwałtownym rozkołysaniu poczęły uderzać o siebie i pękały jedna po drugiej. Strumienie fal, zmieszane z kwasem, rozlały się po rufie i pełzały dymiącemi językami we wszystkich kierunkach. Wżłobiły się w napotkane szcze-

liny, wżarły w żelazo, wniknęły przez nawiewniki i dosięgły w ten sposób wnętrza kajut.

Wśród rozproszonych promieni mdłego światła lamp, kapitan spostrzegł oficera wachtowego, brodzącego wśród rozrzuconych butli i grubych kawałów stłuczonego szkła. I nagle nowa fala uderzyła w statek, wywróciła kilka butli, przyczem niektóre z nich znów popękały i na pokładzie zabulgotały z sykiem dymiące języki. Całą rufę zdawały się już ogarnąć niewidzialne płomienie. Spienione strumienie wody w piekielnym uścisku wężowych ramion obejmowały pokład białym, płynnym ogniem.

Wszystko to stało się w ciągu kilku sekund. Oficer wachtowy zatoczył się nagle, uderzony nową falą i na oczach kapitana runął twarzą w płynny ogień, a z piersi jego wyrwał się przeraźliwy krzyk bólu.



— Pomocy!... Oczy! moje oczy...

Kapitan rzucił się w jego stronę, lecz pomoc wszelka okazała się już spóźniona. Wyjąc z bólu, podniósł się wachtowy sam na nogi i zasłoniwszy twarz dłońmi, potoczył się na oślep wzdłuż pokładu. A tymczasem z głębi statku doleciały znowu te same, drażniące nerwy, błagalne wołania...

Kapitan Worłochow stoczył się w luk tak szybko po schodach, że potknął się i upadł, uderzając głową o ostatni stopień. Zamroczyło go, ale tylko na chwilę. Nie mógł jednak uświadomić sobie, dlaczego korytarz osłaniała w dalszym ciągu ta sama mroczna powłoka. Przecież światło nie zgasło. W jego smugach dostrzegł nagle białawe opary, jakby z mgły gęstej o woni gryzącej. Czuł ją w nosie, w krtani i w płucach. Dusił się.

Dzieliło go od drzwi, gdzie znajdowała się załoga, zaledwie piętnaście kroków.

Ta przestrzeń podobna była zwodnemu trzęsawisku. Cały korytarz dymił od kwasu siarkowego. Ze ścian spływała farba zmieniona w błotnistą pianę i zalewała nią żelazny chodnik, który za każdym przechyleniem statku zapadał się pod nogami w grząskie kałuże. Każde dotknięcie ściany parzyło go dotkliwie, bólem wwiercało się w jego ręce, bólem rozrastało się w całem ciele.

Zanim dosięgnął połowy korytarza, upadł jeszcze kilka razy. Piekący ogień wgryzł się w lewy bok. Z postrzępionego, spalonego płaszcza ceratowego, unosiły się kłębki dymu. Kwas przepalił mu również ubranie, tlił w bieliźnie i przesiąkając na wylot, żłobił niewidzialne, płonące rany we wszystkich mięśniach.

A jednak człowiek ten, wprost nadludzkim wysiłkiem wiedziony, szedł naprzód, ocierał się o ściany, ześlizgiwał się po nich, padał i znów się podnosił. Po ostatnim upadku myślał, że już się nie podźwignie więcej, że tu zostanie.

Cały statek zatrząsł się, zakołował i runął w bezdenną czeluść oceanu.

— Zdechnę, jak koń, zwalony na mokry asfalt — pomyślał sobie wtedy. Ale wtem nagle zajęczał znowu za ścianą głos tak błagalny, jakby wzywał ratunku, gdzieś w głębi dziecięcej duszy, na dnie dalekiego życia, w jednej wspólności wszystkich ludzi na morzu — w nim samym.

— Muszę, muszę — gramolił się i z temi słowami, ostatnim zrywem mięśni, dźwignął się zpowrotem na nogi.

Nie mógł jedynie zrozumieć, dlaczego zamknięta w tem piekle załoga, nie otwiera drzwi messy i nie wychodzi na pokład statku.

Wreszcie dotarł do drzwi, porwał za klamkę. targnął silnie, lecz drzwi nie puściły. Podwoił wysiłek... i tym razem drzwi wciąż trzymały, jakby je ktoś wmurował w żelazne ramy. Bezradnie obejrzał się dokoła i nagle wzrok jego padł na stojący w kącie łom żelazny.

Bez namysłu porwał go w palące dłonie i z całych sił uderzył kilkakrotnie w drzwi, z poza których dobywało się głośne wycie, podobne jękom piekielnych mocy. Jeszcze kilka mocnych uderzeń i drzwi ustąpiły.

Razem z ustąpieniem drzwi uderzyła w niego zbita masa ciał ludzkich, wywracając go na błotnisty, dymiący chodnik. Kilkanaście stóp, obutych w twarde kamasze, przeleciało tuż nad jego głową, depcząc mu ręce i nogi. W ogólnym tumulcie został kopnięty czyjąś nogą silnie w twarz, która krwawić poczęła, a jednocześnie krwawiąca rana paliła, jakby kto rozpalone żelazo przykładał.

Gdy tupot nóg nad jego głową ustał i gdy głosy się nieco oddaliły, porwał się na nogi i popędził w ślad za tłoczącą się w wąskim luku i wyjącą z bólu garstką oszalałych marynarzy.

Wypadł za niemi na pokład, umazany krwią i błotem, podobny do upiornego widziadła; przez zaschnięte gardło nawoływał do porządku, rzucał rozkazy, których nikt nie słuchał. I tu dopiero pojął całą grozę położenia.

Mimo głośnych z jego strony protestów, wielka ilość załogi, dopadłszy pokładu, rzucała się wprost w spiętrzone fale morza. Inni czepiali się szalup, spuszczali je gorączkowo na wodę i po uwiązanej pośpiesznie linie sunęli na dół, gdzie czekała na nich... śmierć. Jeszcze inni, ci oślepieni, poomacku kołowali po pokładzie, jęcząc i wyjąc, padali za każdym pochyleniem statku i znów się podnosili, błądząc tak długo w wiecznej już dla nich nocy, aż wyciągnięta przed siebie dłoń napotkała na zimne żelazo balustrady i wtedy z rozsadzającym bębenki w uszach okrzykiem padali w zimne ramiona morza.

Cała ta scena trwała nienaturalnie krótko. Oszalały w bezsilnej rozpaczy Worłochow, rozejrzał się dokoła... pokład był już pusty. O kilkanaście metrów od statku walczyło jeszcze ze wzburzonym żywiołem kilku niedobitków na wątłej łodzi, która już to ginęła, to znów się ukazywała wśród niebotycznych fal, aż wreszcie zniknęła na zawsze. W jękach wiatru wzbił się w niebo rozpaczliwy krzyk i... zamilkł.

Opodal na pokładzie leżało martwe ciało z przestrzeloną skronią. Kapitan zbliżył się do zwłok, lecz w tej samej chwili upadł i potoczył się na sam brzeg statku. Czepiając się różnych przedmiotów, dowlókł się do kabiny sternika. Była pusta. Zawołał przez tubę do kotłowni, i tu nikt mu nie odpowiedział. Przeszukał wszystkie kabiny, zajrzał w każdy kąt — nigdzie żywej duszy. W komorze maszyn leżało kilka trupów...

— Tu była walka — szepnął zbielałemi wargami.

I nagle, w śmiertelnej ciszy, jaka panowała na dnie statku, odezwał się opętańczy śmiech kapitana. Śmiał się długo, przeraźliwie, wybiegł na pokład z tym samym śmiechem na wykrzywionych ustach, przywiązał się liną do masztu i tu, jakby na urągowisko szalejącym żywiołom, śmiał się głośno i długo w czarną, dartą błyskawicami noc...

Po kilku dniach, załoga szwedzkiego statku, znalazła na morzu z połamanym sterem i zwalonym masztem opuszczonego „Małkina", a na nim, bezprzytomnie leżącego kapitana Worłochowa...

— — — — — — — — —

Opadły mgły i błękit nieba ukazał światu radosne oblicze słońca. Normalnym trybem potoczyła się praca w porcie; wyruszyli rybacy na połów, a szalony kapitan po kamiennych błądził molach i zbierał porzucone niedopałki...

„DAMA PIKOWA"
NORA LONG, DOSKONAŁA TANCERKA AKROBATYCZNA — *Fot. Willinger, Wiedeń*



SERWETKI KORONKOWE.

I.

Zapotrzebowanie na serwetki koronkowe najwidoczniej wzrasta w gospodarstwach domowych, skoro Czytelniczki „Asa" specjalnie się o nie upominają. Czyniąc im zadość dajemy kilka wzorów w technice kombinowanej: teneryfa z szydełkiem. Technika koronek teneryfowych przedstawiona była metodycznie w Nrach 12—15 „Asa" z r. 1936. Przypuszczamy więc, że nie sprawi jej zastosowanie żadnych trudności, a w danym razie wystarczy zajrzeć do wymienionych numerów naszego pisma. — **Red.**

W reprodukowanych obok serweteczkach widzimy środki wykonane w postaci kółek teneryfowych, a wykończenie szydełkiem. Środki teneryfowe robione tu są najnowszą metodą, mającą więcej amatorek od poprzedniej, która stanowiła zbity splot nici, powstały przy naciąganiu osnowy na wzór, jak to widzimy we wzorze nr. 2, gdy natomiast wzór 1 i 3 mają w środku ażurowe kółeczka z pajączkami. Nie są one wcale trudne do wykonania.

Kółeczko, w którem zawarty jest pajączek, wykonane jest szydełkiem w następujący sposób: nawijamy na dwóch palcach lewej ręki kółeczko z nitki, okręconej wokoło nich pięć razy. Potem zdejmujemy to kółeczko z palców i szydełkujemy na niem niskie słupki, ciasno, jeden przy drugim. Gdy kółeczko zapełnione, zahaczamy przy ostatniem oczku nitkę, by się nie prula i tą samą nicią, której trzeba zostawić 4—5 metrów długości, naciągamy osnowę na przygotowany kartonik. Naturalnie środkowe kółeczko trzeba mocno przyfastrygować do kartonika, w samym środku przygotowanego wzoru. Następnie obwód przygotowanego kółka teneryfy łączymy z obwodem przygotowanego kółeczka szydełkowego. Ponieważ różnica między obydwoma kółkami jest duża, trzeba na małem kółeczku robić po 2 a nawet 3 ściegi w jednem oczku, podczas gdy na obwodzie kółka teneryfowego przypadnie tylko po jednym promieniu w każdym oznaczonym ściegu pomocniczym.

Wzory do wyszywania przygotowanej osnowy nie są trudne ani we wzorze nr. 1 ani we wzorze nr. 2. Jedno i drugie kółko teneryfowe można uzupełnić na obwodzie dowolnej szerokości wzorem szydełkowym, jaki widzimy na serwetce nr. 2. Po obszydełkowaniu obwodu kółka teneryfowego niskiemi słupkami, następuje rząd dziurek szydełkowych z podwójnie nawijanych słupków, zamknięty w sobie, a nie prowadzony wokół ślimacznicą. W każdym następnym rzędzie wykonuje się pomiędzy słupkami po dwa (później po cztery) oczka, przedzielone pikocikiem. Wzór nr. 2 ma osiem rzędów szydełkowych, ale można zrobić ich więcej, o ile potrzebny jest większy obwód serwetki.

Wzór nr. 3 to dość duża (ok. 50 cm średnicy) serwetka. Wykonuje się do niej duże koło teneryfowe, w dwanaście zębów, obszydełkowanych efektowną koroneczką.

To kółko teneryfowe jest trudniejsze od poprzedniego właśnie ze względu na duży obwód, zęby i liczne nitki osnowy, które trzeba dokładnie rozliczyć, aby symetrja zębów i wzoru była zachowana. Zaczyna się tak samo jak kółko nr. 1 od kółeczka szydełkowego z małemi słupkami, gęsto umieszczonemi na jego obwodzie. To kółeczko przyszywamy do tła przygotowanego wzoru z kartonika, łącząc potem jego obwód z obwodem naznaczonym fastrygą, przygotowanym na zębatą serwetkę. Znaną techniką teneryfową wykonuje się osnowę serwetki i wyszywa na niej wzór, rozplanowany w trzech kolistych płaszczyznach.

Po zakończeniu tego wzoru odcina się go od kartonu i obszydełkowuje półsłupkami wszystkie zęby po kolei. Następnie szydełkuje się naokoło rząd dziurek o trzech oczkach w powietrzu pomiędzy słupkami, naddając na środku każdego ząbka motyw koronkowego ząbka szydełkowego, złożonego z sześciu dziurek.

Koroneczka ta jest tak efektowna, że dla lepszego nauczenia się jej i ewentualnego użycia w charakterze oddzielnej koroneczki, podana jest osobno także i w prostej linji (nr. 4).

Oto jej sposób wykonania: Na 7-miu dziurkach (o 3 oczkach pomiędzy słupkami) wykonuje się niskie półsłupki po 3 w każdej dziurce, omijając wbijanie szydełka w słupki. Wypełniwszy w ten sposób 7 dziurek robi się ostatni półsłupek na słupku, tu wyjątkowo jako w punkcie zaczęcia składowego ząbka całości.

Następuje łańcuszek z 15-tu oczek, który zaczepia się wstecz na prawo, wbijając szydełko w słupek po 3-ciej dziurce. Tu przeciąga się tylko nitkę i robi jedno oczko. Teraz na tym łańcuszku następują cztery półsłupki, a od nich łańcuszek na 12 oczek, który zaczepiamy wstecz na prawo jak poprzedni w trzeci słupek. Na wytworzonym z łańcuszka ząbku szydełkujemy 20 półsłupków, tj. do miejsca złączenia tego ząbka z poprzednim. Wchodzi się na ten poprzedni i znów następują 4 półsłupki na nim. Po nich nowy ząbek z 12-tu oczek w powietrzu, złączony wstecz na prawo z piątym półsłupkiem poprzedniego ząbka. Po wypełnieniu ząbka łańcuszkowego 20-ma półsłupkami, robi się 4 półsłupki na ząbku środkowym. Tak powstaje na nim kolejno 4 obrobione półsłupkami ząbki. Wtedy wypełnia się czterema ostatniemi półsłupkami resztę ząbka środkowego. Następuje wypełnianie półsłupkami trzech następnych dziurek podstawy koroneczki, jeszcze 7 oczek łańcuszka, które łączy się w ostatnie ogniwo ząbka w 5-tym półsłupku przedostatniego ogniwka, powracając półsłupkami z powrotem.

Na koroneczce prostej następny ząbek zaczyna się po wyszydełkowaniu półsłupkami jednej dziurki podstawy ząbków, powtarzając ząbek za ząbkiem do odpowiedniej długości koroneczki

Przy szydełkowaniu obramowania serwetki nr. 3 robi się te ozdobne ząbki tylko po jednym, przez co zęby serwetki wydłużają się bardzo efektownie. Po skończeniu każdego szczytowego ząbka następuje obrabianie półsłupkami dziurek kończących i zaczynających każdy ząbek serwetki, póki się jej całej nie zamknie.

Koronki naszych Czytelniczek.

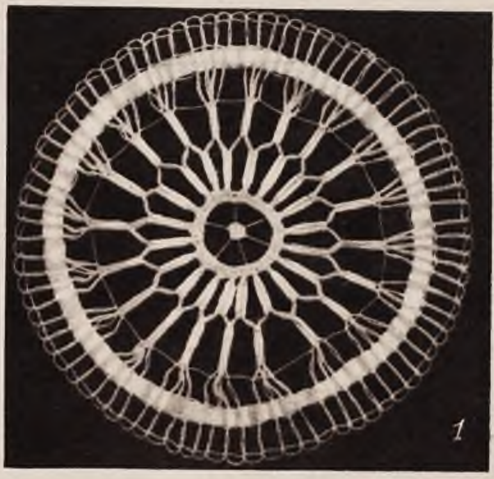
Po raz pierwszy, odkąd prowadzi „As" dział koronkowy otrzymała Redakcja wzór koroneczki, nietylko wykonanej na podstawie wyuczenia się pomieszczonych ostatnio w „Asie" koronek czółenkowych, ale jeszcze przetworzonej w oryginalny wzór. Chętnie go reprodukujemy wraz z opisem, przysłanym przez p. **J. H. z Chorzowa**, w tem przekonaniu, że pójdą jej śladem inne nasze Czytelniczki, przez co będzie mogła Redakcja przekonywać się naocznie o rezultatach metodycznego przeprowadzania w tym dziale wszystkich technik koronkarskich.

Oto list naszej Czytelniczki: Zamieszczony w „Asie" tak szczegółowy opis wykonywania koronek czółenkowych, zachęcił mnie do popróbowania swych sił w tym kierunku, mimo, iż po raz pierwszy spotkałam się z tego rodzaju techniką koronkarską. Zawiązywanie węzełków, z których powstają półsłupki, słupki i oczka czółenkowe, nie przyszło mi z łatwością. Przez trzy dni bezskutecznie rozpoczynałam żmudne śledzenie opisu z nawiniętem bawełną czółenkiem. Wreszcie trzeciego dnia, śledząc bacznie znaczenie każdego słowa i zastanawiając się nad każdem z osobna, doszłam do pierwszego zawęźlenia prawidłowego. Robiłam więc dla wprawy różne kółka, listki, ząbki... To mnie zachęciło do skombinowania koroneczki samodzielnie.

Powstała w ten sposób taka sobie malutka koroneczka z listków koniczyny trójlistnej, łączonej ze sobą przy pomocy oczek. Podstawę koroneczki zrobiłam na dwóch czółenkach, co mi pozwoliło uzyskać linję łączącą dołem wszystkie trójlistki na wspólnym jakby paseczku. Gdyby „As" chciał wydrukować ten opis z koroneczką, podaję go szczegółowo, może skorzystają z tego i inne Czytelniczki. Może też zechcą ze swej strony pokazać, czego się z „Asa" nauczyły i przeszlą Redakcji swe odrabiane koronki czy oryginalne wzory. Śledząc od początku podawane tak szczegółowo techniki koronkarskie, zastanawiałam się nieraz nad tem, jak też wykorzystują je Czytelniczki „Asa". Tak zdobyłam się na odwagę przesłania swej skromnej pracy po raz pierwszy do Redakcji pisma, aby swym przykładem zachęcić inne panie...

A oto jak wykonuję koroneczkę z koniczynek: Robię na kółku 6 słupków, potem oczko i 12 słupków, znów oczko, znów 12 słupków, oczko i 6 słupków. Teraz zamykam listek, ściągając nitkę z czółenka. Zaraz obok zaczynam tak samo drugi listek, tylko po pierwszych 6-ciu ocz-

Dokończenie na str. 31-ej.



Piękny wzór serwetki koronkowej o prostym i estetycznym temacie.



Wzór nr. 2 serwetki, wykonanej techniką teneryfowa.



A oto wzór nr. 3 serwetki o bardziej skomplikowanym wzorze.



Wzór koronki, mogącej służyć jako zakończenie serwetki.



Koronka, wymyślona przez naszą Czytelniczkę, a przedstawiająca stylizacje listków koniczyny.

KOSMETYKA
korzysta z pomarańcz i cytryn

Zmęczonemu pracą umysłową a osłabionemu organizmowi, przywraca sok z pomarańcz świeżość i ochotę do pracy.

Włosi nie obierają pomarańcz przed spożyciem na surowo, nie dzielą ich wcale na cząstki, lecz przy pomocy otworu, zrobionego w skórce, wyciskają odrazu sok do ust. Powiada się, że pomarańcze najlepiej smakują, wyciskane na sposób włoski, albo dzielone na połówki i też wyciskane wprost do ust.

Wyciśnięty sok z pomarańcz jest równie smaczny, jak wieloraki w użyciu. Medycyna zalicza go do najbardziej odżywczych środków, przepisując go osobom osłabionym, zamiast pierwszego śniadania.

Również i kosmetyka wciągnęła pomarańcze w rejestr swych najskuteczniejszych środków. W żółtej skórce pomarańczy znajduje sie silny bardzo eteryczny olejek, skutecznie działający przeciwko osłabieniu tkanek skórnych, które skutkiem tego są za wiotkie i powodują obwisanie i marszczenie się skóry.

Skuteczny w tych wypadkach jest wyciąg octowy z skórek pomarańczowych, który przyrządza się następującym sposobem: flaszkę o szerokiej szyjce napełnia się do połowy skórkami pomarańczowemi, pokrajanemi w drobne cząsteczki i pozbawionemi całkowicie białej skórki wewnętrznej. Potem zalewa się ją najlepszym octem winnym i stawia na 4 tygodnie w ciemnem miejscu, co jakiś czas flaszką dobrze wstrząsając. Pamiętać należy przytem o dobrem zakorkowaniu flaszki.

Po upływie czterech tygodni filtruje się ocet przez węgiel drzewny do czystej flaszki, w której daje się bardzo długo przechowywać. Do użycia rozcieńcza się ten ocet letnią wodą i używa się na okłady, na czoło, na szyję lub policzki. Używany dłuższy czas daje bardzo dobre rezultaty, wzmacniając skórę i ściągając zmarszczki.

Doskonałe jest również działanie pomarańczowej wody do ust, wzmacniając zęby i dziąsła. Przyrządza się ją tak samo, jak poprzedni wyciąg ze skórek, zalewając je zamiast octem, czystym alkoholem. Po czterech tygodniach ta orzeźwiająca, dezynfekująca i wzmacniająca woda do ust jest gotowa.

Jak pomarańcza ma wybitnie wzmacniające działanie, tak cytryna znów świetna jest w kosmetyce, jako środek oczyszczający i wybielający najdoskonalej ręce. To też nie należy wyrzucać skórek cytrynowych, lecz pozostawiać je po wyciśnięciu do mycia rąk, które po dłuższym okresie ich używania stają się nadzwyczaj białe, przyczem tak intensywne dezynfekowanie rąk, uniemożliwia ukazywanie się jakichkolwiek pryszczy itp., utrzymując skórę w stanie doskonałej czystości.

Elwira.

KONKURS »ASA«
na najlepszą nowelę.

Sąd konkursowy w odpowiedzi na liczne zapytania komunikuje, że prace jury uległy pewnej zwłoce zpowodu choroby większości członków sądu konkursowego. Obecnie prace te podjęto na nowo i w najbliższych kilku tygodniach na łamach magazynu „AS" zostaną zamieszczone definitywne wyniki konkursu.

ŻYCIE
TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

ŚLUB PIANISTY STANISŁAWA NIEDZIELSKIEGO





W ub. czwartek odbył się w kościele św. Piotra w Neuilly pod Paryżem ślub Stanisława Niedzielskiego, młodego utalentowanego pianisty polskiego, z panną Marją Teresą Charpentier, córką znakomitego chemika francuskiego inż. Pawła Charpentier. Ślubu udzielił młodej parze kardynał Verdier, arcybiskup Paryża, a świadkami po stronie p. Niedzielskiego byli ambasador R. P. Łukasiewicz i sir Charles Mendl, radca ambasady brytyjskiej w Paryżu.

Z WYSTAWY M. PIRGI



We Lwowie otwarto w sali wystawowej hotelu Europejskiego Wystawę rysunków znakomitego urbanisty i odkrywcy centrum starego Lwowa, inż. architekty Marjana Hełm-Pirgi. Z wystawionych szkiców rysunkowych, wykonanych w czasie licznych podróży do Italji oraz na Wschód, śledzić możemy wielkie zamiłowanie i zrozumienie piękna architektury przez tego utalentowanego artystę, którego energji i pracy Lwów wiele zawdzięcza. Dochód z wystawy przeznaczony został w całości na cele bezrobotnych miasta Lwowa. Na zdjęciu: Jedna z prac inż. Marjana Hełm-Pirgi, przedstawiająca klasztor PP. Benedyktynek we Lwowie.

SUKCESY MŁODEJ BALERINY



Miłem zjawiskiem w zespole Teatru Słowackiego w Krakowie jest młoda, bo zaledwie 16 lat licząca, niezwykle utalentowana tancerka Zofja Więcławówna, której sukcesy datują się od Międzynarodowego Konkursu w Warszawie, gdzie zdobyła medal za taniec solowy. Jako uczenica szkoły baletowej p. Wachsman-Orlińskiej, wyjeżdża z zespołem tej szkoły na konkurs taneczny do Wiednia i tam razem z koleżankami zostaje wyróżniona dyplomem. Występując potem parokrotnie na scenie Teatru Słowackiego, zwróciła na siebie szczególną uwagę doskonałem ujęciem głównej roli chłopca w dramacie Maeterlincka „Niebieski Ptak". Na zdjęciu: Zofja Więcławówna w tańcu łowickim.

Radlińska i Leontjew



Słynny tancerz Sasza Leontjew, baletmistrz Teatru Wielkiego w Warszawie.

Warszawska opera państwowa pozyskała ostatnio nowego baletmistrza, o wybitnej indywidualności twórczej i równocześnie świetnego pedagoga. Sasza Leontjew ma już od lat ustaloną sławę międzynarodową. W swej stosunkowo krótkiej karjerze przewędrował on świat wzdłuż i wszerz, jest równie znany w Europie, jak i za Wielką Wodą. Do Warszawy przybył z Wiednia, gdzie był dyrektorem baletu państwowej opery, przybył — jeśli mu wierzyć — znęcony nietyle warunkami kontraktu, co świetnym materjałem baletu warszawskiego, który miał możność poznać podczas Międzynarodowego Konkursu Tańca w Wiedniu, zakończonego, jak wiemy, pełnym sukcesem naszych tancerek.

— Dopiero w Warszawie znalazłem — mówi nam Leontjew — nietylko ludzi o nienagannej technice, ale i tancerzy z krwi i kości. Polacy, dodajmy zresztą, jak wszyscy prawie Słowianie, to urodzeni tancerze, dopiero w tańcu znajdują pełny wyraz swej indywidualności. Dużo nadziei pokładam zwłaszcza w narybku baletu warszawskiego, w tych najmłodszych. Warto i miło z nimi pracować...

Pierwszym, oficjalnym niejako występem Leontjewa w Warszawie była niedawna premjera „Legendy o Józefie", wspaniałego baletu do muzyki Straussa, napisanej specjalnie dla Djagilewa. Leontjew ma już poza sobą przeszło 500 występów w tym balecie, w inscenizacji Reinhardta.

Ostatnio bawił Leontjew w Krakowie, gdzie wraz z Haliną Radlińską, baleriną Opery warszawskiej, dał recital taneczny w sali Starego Teatru z pełnym sukcesem artystycznym. Tancerz zapytany przez nas o swe credo artystyczne, mówi:

— Uważam, że czasy tańca, którego celem była tylko i wyłącznie skończona technika, minęły już bezpowrotnie. Zdanie, że akrobatyka jest przekleństwem tańca, jest może trochę za silne, ale niewątpliwie oddaje sytuację trafnie. Sport i gimnastyka stanęły dziś na granicy akrobatyki, przekroczyły ją nawet. Nie widzę powodu, dla którego taniec miałby stać się konkurentem sportu.

Taniec musi mojem zdaniem iść dzisiaj po linji udramatyzowania, że tak powiem, pewnych sytuacyj życiowych. Tancerz może i powinien przemawiać do widza nawet silniej, niż aktor. Mój program krakowski — to przecież wszystko opowiadania; wszystko co tańczę ma żywą, dramatyczną treść.



Halina Radlińska, znakomita balerina Teatru Wielkiego w Warszawie, w „Legendzie o Józefie".
Fot. Dorys — Warszawa.

Na prawo: „a tu w „Nocy Walpurgji"
Fot. Dorys — Warszawa.



— Wiem — mówi dalej Leontjew — że widza czasami zaskakuje moja koncepcja choreograficzna. Ale widz musi ją ze mną przeżywać. Przecież tego nie można porównać z tańcem w kabarecie.

Mówimy jeszcze przez chwilę o Halinie Radlińskiej. Córka hr. Koczorowskiego i żona jednego z wyższych urzędników Min. Skarbu, jest ona obok Karczmarewiczówny najwybitniejszą przedstawicielką baletu opery warszawskiej.

— Dobrze, że nie rozumie po niemiecku— mówi Leontjew — patrząc z uśmiechem na swą partnerkę. — Nie lubię bowiem chwa-

Dokończenie na str. 31-ej

W warszawskich sferach towarzyskich jedno z naczelnych miejsc pod względem wdzięku i urody zajmuje mecenasowa Leonowa Śliwińska. Wysoka, smukła, o pełnych wyrazu fiołkowych oczach i jasnych, popielato-blond włosach, przedstawia typ pięknej, rasowej Polki. Nic dziwnego, wszakże dzisiejsza mecenasowa Śliwińska, to nasza pierwsza Miss Polonja, panna Władysława Kostakówna.

Pamiętamy wszyscy, jak sympatycznem echem rozeszła się wówczas wieść o wyborze tej pierwszej naszej Królowej Piękności, mającej dać przed całym światem świadectwo sławnej urodzie Polek. Wybór ten bowiem miał w sobie posmak romantyzmu, tak odpowiadającego naszej słowiańskiej naturze. Skromne, młodziutkie dziewczę staje do konkursu w gronie świetnych zawodniczek, mających już ustaloną sławę piękności i... zwycięża! Zwycięża właśnie owym czarem młodzieńczej krasy, spojrzeniem dużych fiołkowych oczu i jasną czupryną popielato-blond włosów.

Pamiątkowy album Miss Polonji, który przeglądam u mecenasowej Śliwińskiej, to jakby ilustracje do pięknej bajki filmowej, z nieodłącznym happy-endem. Po szeregu zdjęć z najrozmaitszych świetnych przyjęć, rautów, bali tak w kraju jak i zagranicą, w towarzystwie najwyższych dostojników i sławnych osobistości, na ostatniej stronie Miss Polonja w obłokach welonu ślubnego u boku wytwornego pana we fraku, swego obecnego małżonka, mecenasa Śliwińskiego, który swą uroczą żonkę wprost z triumfalnej drogi piękności poprowadził na ślubny kobierzec.

— Zawsze bardzo miło wspominam ten okres mojego życia — opowiada pani Śliwińska. — Tyle zaznałam wówczas serca i życzliwości od osób całkiem mi obcych i nieznanych. Wybór pierwszej Miss Polonji był poniekąd nowością i sensają na naszym gruncie. Zainteresowanie się moją osobą miało przedewszystkiem tę dobrą



Panie, o których mówi stolica:

Władysława Śliwińska

stronę, że na moje ręce składano zewsząd datki na cele dobroczynne, brałam udział w różnych imprezach, w kwestach. Chwilami zdawało mi się, że naprawdę jakaś dobra wróżka dała mi władzę czynienia dobrze i możność otarcia niejednej łzy.

A potem wyjazd zagranicę, do Paryża i na Riwierę, wspaniałe przyjęcia, które urządzano na cześć królowych piękności całego świata, wszystko to jakby piękny sen.

— A nie miała pani zamiaru poświęcić się karjerze artystycznej, która jest zwykle szczytem marzeń każdej niemal pięknej kobiety? — pytam moją rozmówczynię.

— Pod tym względem nie mam najmniejszej ambicji — odpowiada szczerze p. Śliwińska. — Karjera filmowa nie pociąga mnie ani trochę. W okresie mego „panowania" miałam naturalnie mnóstwo najrozmaitszych ofert filmowych, zwłaszcza z zagranicy. Między innemi Rex Ingram proponował mi nader korzystne warunki. Ale stale odmawiałam. Losy skierowały mnie na drogę, więcej odpowiadającą moim domatorskim upodobaniom. Wyszłam zamąż. Jestem przekonaną, że gdybym była jakąś gwiazdą filmową, nie mogłabym wykorzystać radości życia w wyższym stopniu, jak to czynię obecnie, jako kobieta niezależna od wszelkich przymusów reklamowych, nakazów mody itp. Uprawiam najrozmaitsze sporty, ale dlatego, że je naprawdę kocham i uważam za niezbędne do życia. Prowadzę świetnie samochód, jeżdżę na nartach, konno, ubiegłego lata skończyłam kurs żeglarski w Augustowie.

Co zaś do mej pracy na szerszej arenie życia, to poświęciłam się całem sercem opiece nad zwierzętami. Jestem skarbniczką Zjednoczenia Towarzystw Opieki nad Zwierzętami oraz inspektorem tegoż towarzystwa z wszelkiemi prawami interwencji w wypadkach dręczenia zwierząt, co tak się często zdarza, zwłaszcza z biednymi, starymi i schorowanymi końmi, z bezdomnymi psami....

Na te słowa, jakby w zrozumieniu tego, co ich pani mówi, podnoszą się z dywanu, na którym do tej pory wylegiwały się spokojnie, dwa wspaniałe wilczury, opierają mordy na kolanach swej pani i patrzą w jej oczy z wiernem, psiem przywiązaniem i miłością.

— To też wyratowane przezemnie z ciężkich opresyj życiowych ofiary — mówi piękna pani, gładząc pieszczotliwie puszystą sierść swych pupilów. — Ale teraz wam dobrze, nieprawdaż? — zwraca się do psów.

Wilczury odpowiadają pomrukiem, pełnym zadowolenia. Wyrażają swej pani wdzięczność w imieniu wszystkich biednych, pokrzywdzonych zwierząt, którym jej dobre serce nie skąpi nigdy czułej opieki.

Zofja Ordyńska.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

Zupa wiosenna. Różne zioła wiosenne i zielone listki np. szczypiorek, estragon, szczaw, zielona pietruszka, listki selera, wszystkiego po trosze, wymyte i posiekane, dusi się przez chwilę na łyżce masła, zasypuje łyżką mąki, zasmaża, zalewa rosołem lub smakiem z jarzyn, nadaje smak solą, cukrem i sokiem cytrynowym oraz szczyptą pieprzu. W wazie rozciera się żółtko z 1/4 l. kwaśnej śmietany, zalewa wrzącą zupą, mieszając pilnie i podaje z grzankami.

Bitki cielęce w rosole (z kuchni dietetycznej). Kawałek cielęcego mięsa, 10 do 15 dkg, miele się dwukrotnie, nie dodając do niego nic prócz szczypty soli i łyżki wody, z którą mięso należy dobrze wymieszać. Następnie formuje się z mięsa małe kulki, wrzuca na rosół z kości i jarzyn i gotuje przez 20 minut. Rosół musi się gotować w chwili, kiedy się zraziki wkłada. Ugotowane zraziki wyjmuje się na talerz i stawia w cieple, na rosół zaś wlewa się jajko ubite z łyżeczką drobnego grysiku, gotuje przez 5 minut, zalewa nim wyjęte poprzednio bitki i podaje posypane siekaną zieloną pietruszką.

Consommé z móżdżku do rosołu. Pół móżdżku parzy się wrzątkiem, obiera z żył i błon, następnie dusi na łyżce masła przez 15 minut, poczem dodaje się łyżeczkę mąki, podsmaża i zalewa dwoma łyżkami zimnego rosołu, rozkłóca dokładnie na gładko, a po wystudzeniu dodaje się dwa całe jaja, z któremi się móżdżki ubija. Nieduży rondelek naciera się masłem, wlewa ubitą masę, wstawia do większego naczynia z gorącą wodą i gotuje na parze. Consommé kraje się w kostkę lub wykrawuje z niego łyżeczką małe kluseczki wprost do wazy z rosołem.

Szczupak szpikowany. Dobrze oczyszczonego i wymytego szczupaka soli się i naciera sokiem cytrynowym. Grzbiet ryby szpikuje się gęsto cienkiemi paskami słoniny, przeciągając je szpikulcem przez szerokość grzbietu, tak że wystające końce słoniny tworzą dwa białe rzędy wzdłuż grzbietu ryby. Rybę układa się grzbietem do góry na maśle w brytwannie i piecze w gorącym piecyku przy pilnem polewaniu masłem i od czasu do czasu gorącą wodą. Gotową rybę wyjmuje się na długi półmisek i stawia w cieple. Pozostały sos podprawia się 1/4 l. śmietany, rozbite z łyżeczką mąki, zagotowuje, przecedza, dodaje łyżkę tartego chrzanu i wylewa do sosjerki. Rybę okłada się kulkami z tartych ziemniaków i płatkami cytryny. Również makaron lub francuskie kluseczki mogą stanowić dodatek.

Szterc ziemniaczany (potrawa serbska). Ugotowane ziemniaki ubija się i posypuje paru łyżkami mąki. Trzonkiem łyżki przebija się ziemniaki aż do dna garnka, tworząc w ten sposób kilka otworów, zalewa chochelką wrzącej wody i stawia na ogniu, mieszając aż się ciasto do łyżki nie lepi. Łyżką wykłada się ciasto po trosze na rozpalony mieszany tłuszcz, osmaża z obu stron na złoty kolor. Posypany smażoną cebulką szterc podaje się jako dodatek do smażonej kiełbasy, wędzonego mięsa lub smażonej ryby.

Kruche ciastka z suszonemi morelami. 10 dkg. sera (twarożku), 10 dkg masła i 15 dkg mąki troszkę soli i pół łyżeczki proszku do pieczywa, zagniata się na tęgie ciasto, przewałkowuje kilka razy, składając każdym razem wywałkowane ciasto w troje. Wkońcu odkłada się ciasto, owinięte w serwetę w chłodne miejsce; najlepiej sporządzić je wieczorem, aby przez noc spoczywało. Również na noc wkładamy 10 dkg suszonych morel lub brzoskwiń do ocukrzonej wody, aby zmiękły; rano wyjmuje się je z wody na serwetę celem osuszenia. Wywałkowane na pół cm. ciasto kraje się radełkiem w kwadraty, kładzie na środek każdego kwadratu połówkę moreli i małą kostkę cukru przykrywa drugą połówką moreli, zbiera cztery końce ciasta razem ponad samym środkiem, nie zlepiając brzegów ciasta. Posmarowane rozkłóconem jajkiem, piecze się ciastka w dobrze nagrzanym piecyku. W miejsce moreli można dać jako nadziankę masę orzechową lub makową.

Kompot pomarańczowy. Słodkie pomarańcze, umyte i wytarte gotuje się przez godzinę przy częstem dolewaniu gorącej wody. Wyjęte z wody owoce ostudza się zupełnie i kraje ostrym nożem w płaty grubości ołówka. Na środek każdego płatka kładzie się łyżeczkę galaretki porzeczkowej, formując z niej krążek, na środek którego daje się malinę lub wiśnię smażoną. Wszystko kropi się rumem lub aromatycznym likierem.

Turecka kawa (w odpowiedzi Czytelnikowi p. W. P.). Do gotowania prawdziwej tureckiej kawy używa się mosiężnego naczyńka z długiem trzymadłem. Na filiżankę mokki odmierza się filiżankę wody do powyż wspomnianego naczynia, dodaje kostkę cukru i zagotowuje. Z wody tej odlewa się teraz połowę do przygotowanej w tym celu filiżanki, do reszty zaś gotującej się wody wsypujemy 1 dkg bardzo miałko zmielonej kawy. Po zagotowaniu się, dolewamy odlaną wodę i zagotowujemy ponownie, odstawiamy i wlewamy kroplami pół łyżeczki zimnej wody, poczem kawa się osadza. Podaje się w tem samem naczyniu. Im więcej piany tworzy się na wierzchu, tem kawa lepsza i ładniej wygląda. Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Wobec zbliżających się świąt Wielkanocy, niejedna z pań narażona będzie na liczne trudy przy krajaniu różnych tortów, chcąc to uczynić tak, jak w sklepach cukierniczych. Najłatwiej podzielić tort na równe cząstki zapomocą specjalnego przyrządu, który obok reprodukujemy, a składającego się z promienisto ustawionych ostrzy. Wystarczy przycisnąć przyrząd do tortu, aby został estetycznie i dokładnie pokrajany na odpowiednią ilość części.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 11	**Marzec** — 31 dni
NIEDZIELA **7** Tomasza	Zupa pieczarkowa z lanem ciastem. Paszteciki z kiełbasek w naleśnikach. Polędwica wołowa po angielsku z jarzynkami. Kompot mieszany z słoików. Tort orzechowy. <u>Kolacja</u>: Zimna polędwica z sałatką.
PONIEDZ. **8** Jana Bożego	Rosół z kury i consommé z móżdżków. Salsefia w białym sosie. Kura z rosołu z chrzanem cytrynowym. Strudel z makiem. <u>Kolacja</u>: Pierożki ruskie z śmietaną.
WTOREK **9** Cyryla i Metod.	Zupa grochowa z grzankami. Omlet z szpinakiem. Pieczeń wieprzowa z czerwoną kapustą. Kruche ciastka z morelami. <u>Kolacja</u>: Marynowany śledź lub jaja w szklance.
ŚRODA **10** Cyprjana	Pomidorówka czysta na rosole z kluseczkami. Brukselka z masłem. Perliczka pieczona z purée ziemniaczanem i kompotem. Beży z bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Hachée z mięsa rosołowego z sadzonem jajem.
CZWARTEK **11** Konstantego	Barszcz na wędzonce. Wędzonka z purée grochowem. Pieczeń nerkowa z marchewką i groszkiem zielonym. Kompot z pomarańcz. <u>Kolacja</u>: Szterc ziemniaczany z parówkami.
PIĄTEK **12** Grzegorza pap.	Grzybówka z płatkami. Rizotto z groszkiem. Szczupak szpikowany z makaronem. Ryż z kwaśną śmietaną. <u>Kolacja</u>: Wędzone ryby, sery, chleb.
SOBOTA **13** Rozyny	Rosół z makaronem. Sztuka mięsa z sosem musztardowym. Gołąbki duszone na dziko z ryżem lub kluseczkami. Kompot z suchych śliwek i fig. <u>Kolacja</u>: Jajecznica z serem szwajcarskim.

HOCKI-KLOCKI

PUNKT WIDZENIA.



— Szkoda, że jeszcze nie wymyślono pomocy wiosennej!

Rys. Charlie.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

INTELIGENTNI KULOŃCZYCY.

W Kulonji prawo głosowania posiadają tylko ci dorośli obu płci, którzy otrzymali tak zwane Świadectwo Inteligencji. W stolicy Kulonji, najbardziej kulturalnym ośrodku całego królestwa, 5 proc. ludności miało prawo głosowania. W czasie ostatnich wyborów głosowało tylko 7.664 mężczyzn i 2.632 kobiety, razem 3 proc mieszkańców stolicy.

Jaka jest największa możliwa ilość „inteligentnych" kobiet, które mogą znajdować się w stolicy?

RYNEK CZTERECH WIATRÓW.

Rynek Czterech Wiatrów ma z każdej strony tylko po jednym domu. Te cztery strony rynku nazwano północną, wschodnią, południową i zachodnią. Mieszkańcami czterech domów są panowie Zachód, Wschód, Północ i Południe. Jeden z nich jest prawnikiem, a pozostali doktorem, poetą i aktorem.

Mieszkaniec północnej strony nie zna się zupełnie na prawie. Doktor mieszka naprzeciwko pana Południe, a aktor naprzeciwko pana Północ.

Mieszkaniec zachodniej strony z zawodu spędzał wieczory poza domem. Pan Południe, który ani razu w życiu nie był w teatrze, napisał list do prawnika, prosząc go o pewne wyjaśnienia dotyczące spraw spadkowych. Pan Zachód mieszka na prawo od aktora.

Przy których stronach mieszkali panowie: Północ, Południe, Wschód i Zachód i czem się zajmował każdy z nich?

ARYTMETYKA.

Profesor Ułamek, chcąc sprawdzić zdolności swych uczniów do szybkiego liczenia, dał im następujące zadanie:

Należy znaleźć takie dwie liczby całkowite (mniejsze od 10), aby suma ich kwadratów dodana do ich iloczynu, również dała liczbę kwadratową.

MIESZKANKA HERBACIANA.

Pan Kanarek kupił dwa gatunki herbaty — jeden po 2 zł. kilo, drugi — lepszy — po 30 zł. kilo, a następnie zmięszał odpowiednie ilości tych dwóch gatunków herbaty, aby w ten sposób otrzymać trzeci gatunek, który sprzedawał później po 30 zł. kilo i na sprzedaży zarobił 25%. Ile kilogramów każdego gatunku musiał użyć, by otrzymać 100 kg mieszaniny?

ZAPOWIEDZI.

Do proboszcza przyszedł młody człowiek, prosząc go by mu wyjaśnił, w jakim najbliższym terminie mógłby wziąć ślub.

— Trzeba najpierw ogłaszać w kościele zapowiedzi przez trzy następujące po sobie niedziele. Jeśli pan chce, możemy zacząć już od najbliższej niedzieli — odpowiedział ksiądz.

— W takim razie po trzech tygodniach możemy już wziąść ślub?

— Oczywiście.

— A więc może w poniedziałek?

Ksiądz wyciągnął notes. — W poniedziałek nie mogę — odpowiedział — mam pierwszą Komunję swoich wychowanków; zaś we wtorek mam chrzciny i pogrzeb.

— Może w środę? — zapytał młody człowiek.

— A tak, w środę jestem wolny.

Czy jest coś nieprawdopodobnego w tym opowiadaniu?

MUR OGRODOWY.

Dwaj chłopcy bawili się na ogrodowym murze, przyczem z powodu niezręczności obaj nagle spadli na ziemię.

Gdy się podnieśli, twarz jednego z nich była zabrudzona, twarz drugiego czysta. Mimo to tylko chłopiec z czystą twarzą poszedł się umyć.

HUMOR ZAGRANICZNY

INSPEKCJA WOJSKOWA W ŚREDNIOWIECZU.



— Brakuje nam jednej kuli!

— Nie mogliśmy jej odzukać, zapewne wpadła do obozu nieprzyjacielskiego!

(„Ric et Rac")

ROZKOSZE CAMPINGU.



— W Tuluzie istnieje bardzo piękny semafor, ale zato w Carcassonne mamy bardziej urocze bocznice do odstawiania wagonów!

(„Ric et Rac").

Dokończenie ze str. 26-ej.

kach, łączę go przy pomocy szydełka z oczkiem poprzedniego listka. Potem idzie 12 słupków, oczko, 12 słupków, oczko i 6 słupków, zamknięcie listka przez ściągnięcie nitki z czółenka. Listek trzeci robię identycznie z drugim. Po jego ściągnięciu zostaje mi jeszcze do zrobienia środkowe kółeczko, co jest w mej fantazji krótko ściętą szypułką listka koniczyny. Robię na to 3 słupki, oczko, 3 słupki i ściągam kółko, pozostawiając mu kawałątko nitki niedomkniętej w tej miniaturce koła. Obcinam nitkę, nawlekam na igłę i umocowuję niteczkę z kółeczka kilkoma ściegami, przeciągniętemi przez punkty zamknięcia trzech listów i dwa punkty pomiędzy listkami. Potem od spodu kilkoma ściegami zakańczam obie pozostałe nitki i listek gotowy. Listek następny zaczynam tak jak poprzedni, ale już po pierwszych 6-ciu słupkach, łączę go z prawym listkiem poprzedniego trójlistka, postępując już tak samo jak w poprzedniej koniczynce.

Mając odpowiednią ilość koroneczki, biorę dwa czółenka, uwiązuję obie nitki przy oczku dolnem pierwszej koniczynki. Jedno czółenko zawęźla mi oczka, drugie jest tylko zastępcą owego kółeczka, podstawowego przy rozpoczynaniu motywu czółenkowego. To pierwsze wisi mi na ostatnim (małym) palcu, na którym owijam kilka razy nitkę, aby była możliwa do naprężania przez trzeci palec po każdem zawęźleniu. Drugie czółenko wykonuje rzuty nitki naokoło lewej ręki i zawęźla słupki. Ilość słupków pomiędzy oczkami dolnemi każdej koniczynki zależna jest od potrzebnej długości podstawy. W moim wypadku daję 15 słupków pomiędzy koniczynkami, a po 4 słupki pomiędzy listeczkami i ich środkiem. Każde oczko koniczynki łączę przez przeciąganie nitki z małego palca szydełkiem przez oczko, a potem w wyciągniętą kluczkę przesuwam czółenko zawęźlające. Po ściągnięciu nitek oczko jest do swej podstawy przyłączone i robię dalsze słupki, aż do końca moich koniczynek.

Koroneczka przyozdobi dół markizetowych firanek, które na noc zasłaniają mi okna, a w dzień są ściągnięte na boki, wskutek czego falbany, jakie im przeznaczałam, okazały się niepraktyczne, a tak koronka będzie ich najkorzystniejszem wykończeniem.

Dokończenie ze str. 28-ej.

lić. Siła Radlińskiej leży w indywidualnym wyrazie jej tanecznej sztuki, w jakiemś niezwykle dramatycznem napięciu, jakie stale w niej drzemie. Ona zawsze przeżywa to, co tańczy. Z czysto technicznego punktu widzenia uderzać musi u tej artystki niezwykle miękka praca rąk i ramion. Zainteresowania jej idą narazie raczej po linji tańca orjentalnego. Proszę jednak przypomnieć sobie, jak ona tańczyła Chopina. Do Chopina trzeba mieć specjalne ręce, szyję, nawet głowę— zapala się Leontjew.

Halina Radlińska, która w „Legendzie o Józefie" odniosła wielki sukces, odtwarzała tam rolę raczej mimiczną, niż taneczną. Wyjeżdża ona obecnie z Leontjewem na występy do Bukaresztu.

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

W ostatnich czasach w literaturze polskiej, a w szczególności w dziale poezji, daje się zauważyć zainteresowanie morzem i tematami związanemi nastrojowo czy rzeczowo z zagadnieniami morskiemi. W Warszawie powstał nawet niedawno klub pisarzy-marynistów, do którego należy kilkunastu literatów, przeważnie poetów. Jednym z nich jest **Zbigniew Jasiński**, autor wydanego przed kilku laty w Bibljotece 120 u Kuglina w Poznaniu zbioru wierszy morskich „Rejs do Rygi". Obecnie Jasiński wystąpił z drugim zbiorem wierszy morskich. Tomik ten, niezwykle ozdobnie wydany, z licznemi drzeworytami **Kajetana Sosnowskiego**, nosi tytuł **„Papierowym okrętem"**. W kilkunastu wierszach w nim zawartych malują się pięknie i silnie nastroje morskie, wspomnienia dziecinnych marzeń, ujęte w szlachetną formę, pełną oryginalnych porównań i zwrotów. Są też rzeczy bardzo silne w wyrazie, jak np. „Save Our Souls" czy „Wrak". Zbigniew Jasiński jest dobrym przedstawicielem tej poezji młodej, która za temat wybrała sobie morze, polskie morze.

Jeśli jesteśmy już wśród poezji, nie można pominąć oryginalnego zbioru wierszy **Franciszka Lipińskiego.** Ten znów krakowski poeta za temat swych utworów wybrał sobie wyłącznie Kraków, dając w zbiorze **„Kraków Stary"** (nakł. **księg. Nauka i Sztuka)** cykl wierszy, opiewających piękno zabytków i nastroje Krakowa. Wiersze te przepojone są miłością i podziwem dla królewskiego grodu nad Wisłą, a ponadto wykazują wielki postęp naprzód u poety, którego poprzednie tomiki wierszy nasuwały nieraz dużo zastrzeżeń. Lipiński znalazł swą własną formę i swój własny wyraz, przyczem podkreślić należy wiele bardzo trafnych a zwięzłych zobrazowań i parafraz. U wszystkich miłośników starego Krakowa tomik ten powinien znaleźć dobre przyjęcie.

Nie może liczyć na popularność **Feliks Płażek**, który co pewien czas wydaje dramaty oparte na klasycznych źródłach i wzorach. Niektóre z tych dramatów Płażka, pisanych jakże pięknym językiem, odważonym i miarowym, pełnym wyrażeń bogatych w nastrój i charakter, były wystawiane na scenach polskich — ale przed wojną. Czy dziś — przy obecnych nastawieniach teatralnych — możliwe jest wystawienie tych niewątpliwie oryginalnych i pięknych utworów? Obecnie Płażek wydał rzecz pisaną jeszcze w roku 1915, dramat **„Ifigeneja"**, w którym słyszymy homerowe echa. Bohaterką jest córka Agamemnona, którą ojciec podstępnie wybiera na krwawą ofiarę bogom, wierząc, że inaczej Heleni nie dotrą do Troi i do Sparty nie wróci Helena. Dramat pisany wysoce poetycznym białym wierszem stanowi w dotychczasowej twórczości Płażka piękną pozycję.

W. Z.



W Teatrze Wielkim we Lwowie dyr. Horzyca wystawił dramat Calderona de la Barca **„Życie snem"**, w przekładzie Edwarda Boye'go, utwór wielkiej poezji i bardzo obecnie aktualny. Calderona historycy literatury uważają za symbol ducha narodowego współczesnej mu Hiszpanji. Przedstawienie przygotowane zostało niezwykle starannie i rzetelnie, choć — jak stwierdza krytyka — nie wszyscy artyści umieją dobrze mówić wiersz. (Ale gdzie i kiedy mają się tego uczyć?). Główne role odtwarzają: Życzkowska, Malanowiczówna, Krasnowiecki, Brochwicz. Ciekawą choć nieco przeładowaną oprawę malarską dał Andrzej Pronaszko.

Teatr na Pohulance w Wilnie gra obecnie obok **„Poskromienia złośnicy"** Szekspira, w opracowaniu literackiem Tadeusza Białkowskiego i sztukę ostatniego laureata Nobla, Eugenjusza O'Neila **„Anna Christie"**. Sztuka wzbudza duże zaciekawienie.

„Właściwie bohaterem sztuki jest morze — pisze W. Charkiewicz. — Ono zarysowuje się najwyraźniej i wszechstronniej. Groźne, zagadkowe, pełne tajemniczej, niszczycielskiej siły, a zarazem nieodpartego, zniewalającego uroku — jest morze w sztuce O'Neila bohaterem najciekawszym... Jeżeli chodzi o postacie ludzkie, została w nich przez autora ze szczególną siłą podkreślona żywiołowość natury — morskie charaktery... I jest w sztuce miłość: żywiołowa, nieokiełznana, ślepa, mająca w sobie pierwiastki niszczycielskie i miłość jasna, pogodna, promienna. Zwycięża miłość jasna. Otóż to zwycięstwo jasnej miłości w sztuce nie zostało należycie wydobyte. Czyja w tem wina: autora, czy reżysera? — odpowiedzieć, nie znając tekstu oryginalu dość trudno".

Tytułową rolę gra w sztuce świetnie Elżbieta Wieczorkowska, obok niej doskonałymi są W. Staszewski, S. Siezieniewski oraz Detkowska-Jasińska. Efektowne dekoracje dał W. Makojnik, a sztukę przygotował reżysersko W. Czengery.

(b).



Niedziela, 7 marca.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie
10.30 „Słynni dyrygenci — Bruno Walter (płyty).
12.03 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry.
15.00 Pieśni ludowe w wyk. katowickiego Chóru męskiego.
15.30 Audycja dla wsi.
16.00 „Morwitan w piosence" — audycja słuchowiskowa.
16.30 „Pół godziny mandolin".
17.00 Koncert symfoniczny (płyty).
19.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki.
19.20 Koncert rozrywkowy.
21.00 Słuchowisko p.t. „Eksmisja".
21.30 Recital fortepianowy Lazara Levy.
22.00 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego (ze Lwowa).
23.00 Melodje taneczne (płyty).

Poniedziałek, 8 marca.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Aleksander Glazunow — kompozytor i dyrygent (płyty).
12.50 „Wszystkie dzieci mają równe prawa do miłości matki" — pogadanka.
15.15 Koncert rozrywkowy (płyty).
15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.30 Transmisja z Filharmonji Warszawskiej fragmentu Międzynarodowego Konkursu im. Chopina.
17.00 „Wiedza społeczna a życie społeczne: „Trzeba poznać rzeczywistość" — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „O fotografji w promieniach niewidzialnych" — pogadanka.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Koncert rozrywkowy.
21.00 „Poeta i publiczność" — wieczór literacki.
21.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
22.00 Koncert symfoniczny.
23.00 Melodje taneczne (płyty).

Wtorek, 9 marca.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Łódzka orkiestra salonowa pod dyr. Teodora Rydera.
15.15 Wiązanki i pieśni operetkowe (płyty).
16.30 „Pieśni w dialogu".
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich".
17.15 Recital fortepianowy Haliny Sembrat.
17.50 „List pensjonarki" — monolog Tadeusza Hollendra.
18.10 „Sport w miastach i miasteczkach" — pogadanka.
19.00 „Dyskutujmy": „Czy programy szkolne dla chłopców i dziewcząt powinny być jednakowe".
19.20 „Jak się polka z polonezem pobiła" — audycja muzyczna.
20.15 Koncert symfoniczny ze Lwowa i Poznania.
22.30 „Lutnia Puszkina" — kwadrans przekładów Juljana Tuwima.
22.45 Muzyka taneczna.

Środa, 10 marca.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Utwory Fryderyka Deliusa (płyty).
12.50 „Przy balji" — pogadanka.
15.15 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
16.10 „Gdy wielcy ludzie byli mali": „Portret pana Hilarego", obrazek słuchowiskowy z dzieciństwa Jana Matejki.
16.35 Koncert w wyk. chóru męskiego „Hasło" K. P. W.
17.00 „Walka ze szpiegostwem" — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Rozmowa ze Stanisławem Witkiewiczem" — wywiad fikcyjny.
18.50 „Dość pstrokacizny" — pogadanka.
19.00 „Akademik Smorgoński" — opowiadanie Juljana Ejsmonda.
19.20 Motywy hiszpańskie w muzyce francuskiej (płyty).
19.55 Koncert zespołu Almar i Otten.
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Angeliki Morales.
21.30 Z twórczości kantatowej J. S. Bacha (z Wilna).
22.15 Mała Orkiestra Polskiego Radja.
23.00 Melodje taneczne (płyty).

Czwartek, 11 marca.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
12.03 Koncert popularny w wyk. ork. repr. K. P. W.
15.15 Koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R.
16.20 „Marzec" — pogadanka dla dzieci starszych.
16.35 Muzyka dla dzieci (płyty).
17.05 „Dzieci krzywdzone", odczyt.
17.20 Koncert kameralny.
17.50 „Książka i wiedza": „O książce Zischki „Japonja".
19.00 Premjera słuchowiska p. t. „Prometeusz skowany".
19.55 Koncert rozrywkowy (z Wilna).
21.00 Transmisja z Filharmonji Warszawskiej finału III Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina.
23.00 Muzyka lekka (płyty).

Piątek, 12 marca.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert orkiestry mandolinistów im. Moniuszki z Welnowca.
12.50 „Przed świętami na wsi" — pogadanka.
15.15 Koncert rozrywkowy (płyty).
16.15 Rozmowa z chorymi ks. kapelami M. Rękasa.
16.30 Wiązanki melodyj filmowych (płyty).
17.00 „Z sieciami na morze", feljeton.
17.15 Franciszek Schubert: „Trio Es-Dur op. 100.
17.50 „Encyklopedja mówiona".
19.00 „Emigrant" — epizod z noweli.
19.20 „Z pieśnią po kraju".
19.45 „Obój, rożek i fagot" — pogadanka.
20.00 Transmisja z Filharmonji Warszawskiej finału III Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina.
Ok. 22.00 „Kaprys kobiety", skecz.

Sobota, 13 marca.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Śpiewajmy piosenki".
12.03 Muzyka włoska.
14.30 Wesoła audycja dla dzieci.
15.15 Koncert rozrywkowy (płyty).
16.15 Z utworów Adolfa Adama.
17.00 Koncert solistów.
19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
19.30 „Wiosna w Italji", audycja muzyczna.
21.00 Koncert wieczorny.
22.00 „Lekarz pod nożem" — antologja tekstów satyrycznych.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.